

MAGAZYN *razem z dodatkami*



Dorota Kowalska o pokoleniu X. Twardziele, o których zapomniał świat

● Mariusz Gadomski o tragedii na ulicy Widok ● Bursztyn zaczarowany ● Misje w Iraku i w Afganistanie

PLUS TELEMAGAZYN z programem TV oraz omówieniami najciekawszych audycji i filmów

kurier lubelski

Piątek-Niedziela 5-7.06.2026 | Nr. 66 (18.242) | Cena 5,50 zł (w tym 8% VAT) | www.kurierlubelski.pl

Były żołnierz WOT trafił za kraty. Oblał człowieka benzyną i podpalił **str. 4**



Eva Minge: Tak się łowi dziewczyny. Nie zawsze przemocą, czasem iluzją spełnienia marzeń **str. 20**

Koniec z szukaniem żyty „na ślepo”. Sprzęt dla szpitala dziecięcego **str. 4**

Nr ISSN 2353-6136

Nr indeksu 350-32X



Noc Kultury pełna atrakcji.
Co koniecznie musisz zobaczyć? **str. 3**

Prof. Ryszard Tadeusiewicz o sztucznej inteligencji: Nie boję się buntu maszyn **str. 16**

Mietek Szcześniak: Kiedy coś dzieje się przypadkiem, to podobno Pan Bóg występuje incognito. Tak mawiają mądrzejsi od nas **str. 14**



W wypadku w Chełmie zginęło dwóch młodych ludzi. Toyota z 10 osobami pędziła 130 km/h. W środę zapadł wyrok **STR. 5**



Górki Czechowskie. W trakcie prac prowadzonych przez IPN odnaleziono jamę grobową zawierającą szczątki dziesięciu osób **STR. 4**

Agaton Kozłowski

KTO SIĘ POTRAFI UCZYĆ NA WŁASNYCH BŁĘDACH?



Awantura, jaka w Polsce wybuchła przy okazji decyzji Wołodymyra Zełenskigo o nadaniu jednej z ukraińskich jednostek nazwy „Bohaterowie UPA” sprawia, że poniżej naszych radarów przeszło inne wydarzenie. Gest pozornie drobny, ale ważny - w dodatku przypominający już to, co oglądaliśmy w przeszłości.

Chodzi o decyzję niemieckiego biznesu o udziale w konferencji gospodarczej w Petersburgu. Przedstawiciele niemieckiej Izby Handlu Zagranicznego regularnie brali udział w tym forum do 2021 roku. Po ataku Rosjan na Ukrainę przestali, ale w tym roku postanowili tam wrócić. - Zachód nie powinien na stałe oddawać Rosji jej dużego rynku i surowców Azji - argumentował tę decyzję Matthias Schepp, szef Izby.

Nie pierwszy to raz, gdy Niemcy wychodzą z założenia, że można z Rosją zbudować normalne stosunki gospodarcze. Za czasów rządów Angeli Merkel powstała nawet cała doktryna nazywana po niemiecku „Wandel durch Handel” (zmiana przez handel). Zgodnie z jej założeniami budowanie więzi biznesowych z Rosją miało przełożyć się na jej zmianę polityczną. Uważano, że im więcej różnych interesów będzie łączyć Moskwę z Berlinem - czy, szerzej, całą Rosję z Europą - tym Kreml stanie się bardziej przewidywalny, bardziej cywilizowany, bardziej demokratyczny. To legło u podstaw koncepcji budowania najpierw pierwszej, a potem drugiej nitki rurociągu Nord Stream. Handel ropą miał sprawiać, że Rosja nigdy nie wyda swojej armii rozkazu wyjścia z koszar - tak przekonywali całą Europę Niemcy.

Nord Stream 2 miał być otwarty w drugiej połowie 2022 r., ale pół roku wcześniej, 24 lutego, Rosja uderzyła na Ukrainę. Takie efekty przyniosła wielowektorowa strategia „Wandel durch Handel” w praktyce.

Oczywiście, dziś nikt już skompromitowanego pomysłu cywilizowania Rosji przez związki biznesowego podnosić nie będzie. Koncepcje z czasów Angeli Merkel odeszły bezpowrotnie razem z nią. Ale też nie da się nie zauważyć, że od czasów zawieszenia współpracy gospodarczej z Rosją Niemcy znajdują się w bardzo trudnej sytuacji gospodarczej. W tak trudnej (wzrost gospodarczy Niemiec w 2025 r. to 0,2 proc., w tym roku ma to być ok. 0,5 proc.), że biznes będzie szukał każdej okazji do ratowania swoich szans. Także jeśli będzie to oznaczało współpracę z Rosją. A jeśli ktoś uważa, że to nie jest możliwe - bo wartości, bo zasady, bo trwa wojna - to niech najpierw odpowie na pytanie: co delegacja niemieckiego biznesu robi w Petersburgu?

Oczywiście, biznes nie funkcjonuje w próżni, nad nimi są jeszcze politycy, rząd. Trudno sobie wyobrazić sytuację, w której kanclerz Friedrich Merz odnawia współpracę z Moskwą albo przynajmniej akceptuje odbudowę relacji biznesowych. Ale Merz jest kanclerzem słabym (po roku rządów ma rekordowo niskie sondaże), koalicja rządowa jest pęknięta i wewnętrznie skłócona. A w sondażach bardzo wyraźnie prowadzi AfD, które mocno argumentuje na rzecz ograniczenia pomocy Niemiec dla Ukrainy i odbudowy więzi z Rosją. To jest skala wyzwania, przed jaką stoimy jako Polska, jako Europa. Warto też pamiętać o tym wymiarze trwającego obecnie na wschodzie konfliktu i w tym kontekście patrzeć też na polską dyskusję o „bohaterach UPA”, których nigdy nie było.

Adam Bula

BOOMERSTWO WRACA DO SZKOŁY



To nie jest tak, że nie nadążam. Po prostu pamiętam, że to podłużne coś w dłoni

służy do kontaktu na odległość - nawet jak wolimy już SMS-ować lub dyktować wiadomość, a nie dzwonić i rozmawiać. A że to już nie telefon tylko smartfon, szybko przejmujący funkcje kolejnych, niepotrzebnych już setek urządzeń: od zegarka po glukometr - to kwestia drugorzędna. Dla mojego pokolenia. Dla wcześniejszych, czyli... prawie wszystkich - smartfon zastępuje też coraz powszechniej takie drobiazgi jak realne kontakty międzyludzkie lub nawet... samą rzeczywistość.

To zresztą ciekawe, jak często ludzie myślą „nadążanie” za światem z „nadszkakiwaniem” metrycy. Jeśli pamiętasz jeszcze telefony na kabel w daleko nie każdym domu, masz po prostu przywilej rozoznania. Powinniśmy oczywiście ogarnąć Tik Toka, ale doprawdy nie musimy udawać, że nas to kręci i totalnie kasuje sens wieczorków w domu kultury z poezją Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Zaprawdę bowiem stoi w Piśmie, że jest czas na różne rzeczy pod słońcem... To trochę jak z samochodami: między napędem spalinowym a elektrycznym zachodzi tylko różnica technologiczna. Prawdziwy - i niekoniecznie dobry - przełom cywilizacyjny polega na tym, że to nowsze cholerstwo bez przerwy do ciebie gada. I zwyczajnie się czepia, wciąż czegoś ci zakazuje albo nakazuje. Moja ukończona honda (rocznik 1996) poproszona - pięknie śpiewała, a nie proszona - trzymała język za zębami. Dziś możemy wybierać między tysiącami nowych modeli, zaprogramowanych fabrycznie na maniakalnego konsultanta-gadźciarza.

Pamiętanie innych systemów, innych czasów i innych sprzętów nie musi być dziadostwem, boomerstwem czy jakimi tam jeszcze epitetami akurat młodszy rzucają. Mój smartfon zazwyczaj leży i milczy, od czasu do czasu dając znać, że ktoś ma do mnie jakąś sprawę. Nieużywane smartfony moich córek mają notoryczną fazę ostrej epilepsji: tam na ekranie co 0,25 sekundy wskakuje nowy rozpraszacz, generowany przez jedną z bóg wie ilu aplikacji z włączoną standardowo funkcją powiadomień. Dzieci dziś to - nawet w fazie wymuszonej koncentracji na rozmowie z rodzicem - jednookie

cyklopy z odruchami, które naśladują Edwarda Nortona grającego upośledzonych.

Dla mnie w sumie spoko, dopóki jeszcze jest kontakt. Nie chodzi mi bowiem o gędzenie, że „za naszych czasów”. Bo wtedy prawie wszystko nie „było lepsze”. Sporo jednak rzeczy miało swój głębszy sens. Jednym z nich było chodzenie do szkoły. Porzucmy kwestie, jakiej szkoły, z jakim programem i nauczycielami, czyli - z jakim finalnym skutkiem. Zysków z powszechnie dostępnej ale też przymusowej, podstawowej edukacji nikt w zasadzie nie kwestionuje. Niezwykle mnie ciekawi zatem, czy opozycyjnej prawicy i prezydentowi uda się po wakacjach nakręcić kolejną głównoburzę nad zapowiedzianym właśnie przez rząd zakazem używania przez dzieci w podstawówkach smartfonów: na lekcjach i na przerwach.

Wydaje się, że ten coraz powszechniej wprowadzany w liberalnych krajach (ale np. w Chinach też) standard trudno jest kwestionować. Po prostu nauka dziecka w szkole i włączony smartfon w jego rękach to dwie równoległe linie rzeczywistości. Albo, mniej górmołotnie: szkoła sprowadzona do wieloletniego, specjalistycznego szkolenia unikalnej cechy polegającej na ukradkowym skrołowanie sociali.

To problem naprawdę daleko mniej kontrowersyjny od wprowadzonego rok temu w Australii twardego zakazu korzystania z mediów społecznościowych przez dzieci do lat 16. Bo tu dopiero otwiera się pole do wielkiej dyskusji. Dyskusji o tym, jak zmiana technologiczna (internet + smartfon) przekłada się nie tylko na zmiany cywilizacyjne (interakcje w sieciach społecznościowych a nie w realu) ale wprost na biochemię i strukturę naszych mózgów (obrazkowość, przebodźcowanie, itd). Tylko że jakby czas się na takie dyskusje powoli nam kończy. Bo ja - boomers, potrafię puścić na sociale szybką rolę z kotkiem, choć niekoniecznie będzie ona wiralem. A ilu młodych z pokolenia Z wysiedzi na wieczorku z poezją Pawlikowskiej, gdy każą wyłączyć smartfony?

Kiedy upadliśmy? Kiedy się zastanawiam, czy zaznaczyć, że to było pytanie retoryczne, a każdy inteligentniejszy żart w sieci opatrywany jest dopiskiem, że to ironia. Więc przynajmniej odpuśćmy sobie kłótnie o smartfony w szkołach. Dajmy naszym dzieciom szansę dowiedzenia się czegoś o świecie, zanim - jako gatunek - nieuchronnie nie zaczniemy wracać na drzewo.

Nie mówię, że to źle. Twierdzą tylko, że to będzie inne drzewo z innym homo - bo na pewno już nie sapiens.

Spodziewajcie się licznych zmian. Było ich dużo w pierwszym spotkaniu i w drugim też tak będzie. To są mecze sparingowe i kiedy, jeśli nie teraz, próbować różnych rzeczy i dawać szansę piłkarzom? W trakcie spotkania z Ukrainą przeprowadziliśmy dziewięć zmian. To normalne w takich meczach

SELEKCJONER PIŁKARSKIEJ REPREZENTACJI POLSKI JAN URBAN PRZED ŚRODOWYM MECZEM TOWARZYSKIM Z NIGERIA

nasz REGION

KRÓTKO

KRAJ

„Łowcy głów” w akcji

Policjanci z Wydziału Poszukiwań i Identyfikacji Osób Komendy Wojewódzkiej Policji w Lublinie, tzw. łowcy głów, mogą się pochwalić dużą skutecznością. Zatrzymali kolejne dwie osoby poszukiwane za oszustwa, tym razem na terenie województwa wielkopolskiego.

45-letni mieszkaniec naszego regionu poszukiwany był listem gończy. Jak przekazała nadkom. Anna Kamola z Komendy Wojewódzkiej Policji w Lublinie, poszukiwania wszczęli w styczniu

2024 r. policjanci ze Świdnika. To wielokrotnie karany recydywista. Odpowiadał wcześniej m.in. za przestępstwa narkotykowe oraz kradzieże z włamaniem. Podczas ostatniego zatrzymania próbował jeszcze uciec policjantom.

Z kolei poszukiwana listem gończym za oszustwa 39-letnia obywatelka Ukrainy ukrywała się na działkach pod Poznaniem. Poszukiwali jej policjanci z I Komisariatu Policji w Lublinie. ASZ

LUBLIN

Procesja Bożego Ciała



Uroczystość Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa, zwana potocznie Bożym Ciałem przypada w czwartek po uroczystości Najświętszej Trójcy. Wczoraj ulicami miast i miasteczek przeszły procesje. Na zdjęciu dziewczynki sygnalizujące kwiaty podczas procesji z archikatedry lubelskiej.

POWIAT PUŁAWSKI

Z hulajnogi trafili do szpitala

We wtorek w miejscowości Rudy w gminie Końskowola dwóch 14-letnich chłopców jechało jedną hulajnogą elektryczną. Nastolatki w pewnym momencie przewrócili się na jezdnię. Na miejsce została wezwana karetka pogotowia ratunkowego, bo chłopcy doznali obrażeń ciała i wymagali opieki medycznej.

Pierwszej pomocy poszkodowanym udzielił pracownik cywilny Komendy Powiatowej Policji w Puławach, który widział to zdarzenie. Obaj chłopcy zostali przetransportowani do szpitala w Lublinie. Policja ustaliła, że chłopcy jechali z dużą prędkością, żaden nie miał założonego kasku ochronnego. ASZ

LUBLIN

Ul. Królewska w weekendy będzie zamknięta dla ruchu

Na ul. Królewską wraca weekendowy zakaz ruchu pojazdów. Będzie obowiązywał do sierpnia. Uwaga: w najbliższy weekend (z powodu Nocy Kultury) od piątku godz. 16 do godz. 3.00 w niedzielę, z ulicy Królewskiej znikną nawet autobusy i trolejbusy, aby piesi mogli swobodnie przechodzić z deptaka do Bramy Krakowskiej i w drugą stronę. Komunikacja miejska pojedzie objazdami. JAXA



FOT. JAXA

LUBLIN

Nie będzie wjazdu

Od 8 czerwca, związku z kolejnym etapem budowy drogi dla rowerów oraz przebudową skrzyżowania, czasowo zamknięta zostanie wlot z al. Warszawskiej w ul. Czeremchową. JAXA

Noc Kultury pełna atrakcji. Co koniecznie musisz zobaczyć?

Adrianna Romanek
Lublin

Podwodny świat w Bramie Rybnej, gigantyczne instalacje artystyczne, muzyka, światło i setki wydarzeń rozsypanych po całym śródmieściu. W nocy z 6 na 7 czerwca Lublin zamieni się w ogromną scenę kultury. Wybraliśmy siedem atrakcji, których podczas jubileuszowej edycji nie można przegapić.

Noc Kultury od lat należy do najważniejszych wydarzeń kulturalnych w Lublinie. Tegoroczna, jubileuszowa 20. edycja rozpocznie się 6 czerwca o godz. 19 i tradycyjnie potrwa aż do świtu. Organizatorzy przygotowali setki wydarzeń artystycznych, koncertów, spektakli i instalacji, które pojawią się na Starym Mieście i w Śródmieściu.

Hasło „Dobra Noc” zachęca do spojrzenia na noc z zupełnie nowej perspektywy. Na organizację wydarzenia miasto przeznaczyło około 500 tys. zł, czyli podobnie jak przed rokiem. Dodatkowe środki pochodzą od sponsorów, jednak ich wysokości nie ujawniono. Przygotowaliśmy zestawienie siedmiu atrakcji, które naszym zdaniem warto wpisać na listę obowiązkowych punktów tegorocznej Nocy Kultury. Większość z nich do zobaczenia w godz. 19.00-2.00.

Ucho igielne, Brama Ku Farze

Czy odważylibyście się przejść przez ucho igielne? Podczas Nocy Kultury będzie można to sprawdzić. W Bramie prowadzącej na ulicę Ku Farze, pojawi się interaktywna instalacja autorstwa Moniki Trypuz.

Dziewięciometrowa tkanina celowo zwęzi przejście, zmuszając uczestników do podjęcia decyzji: precyzyjnie się przez środek instalacji czy ją ominąć. Dla tych, którzy zdecydują się na pierwszą opcję, organizatorzy przygotowali niespodziankę. Ukryta kamera będzie rejestrować zmagania śmiałków z tajemniczą kurtyną, tworząc niepowtarzalny zapis ich spotkania ze sztuką.



FOT. KL

Noc Kultury cieszy się wielką popularnością wśród Lublinian i turystów

Podwodne królestwo na Placu Rybnym

W tym roku nazwa Placu Rybnego nabierze wyjątkowego znaczenia. Cała przestrzeń zamieni się w podwodne królestwo pełne niezwykłych stworzeń i artystycznych instalacji.

Spacer warto zacząć od ul. Rybnej, gdzie nad głowami uczestników zawisną girlandy przedstawiające mieszkańców morskich głębin. Na samym placu stanie z kolei „Ryba, która ma w sobie światło” - ażurowa ceramiczna rzeźba autorstwa Joanny Kowalskiej-Wolszczak, stylizowana na obiekt obecny w tym miejscu od wielu lat.

Dopełnieniem podwodnej scenarii będą wielkoformatowe „Ryby-lalki” teatru ulicznego Makata. Wśród nich znajdują się m.in. fantastyczna ryba głębinowa i ośmiornica, z którymi będzie można zrobić pamiętne zdjęcia.

Veritas Lemon, ul. Archidiakońska 1 / Brama

Czy potrafisz odróżnić prawdę od iluzji? „Veritas Lemon” to nietypowa zabawa z percepcją przygotowana przez zespół Nocy Kultury. Wśród setek prawdziwych cytryn ukrytych zostanie kilka ceramicznych owoców, które do złudzenia przypominają te prawdziwe.

Zadanie wydaje się proste, ale tylko do pierwszego spojrzenia. Kto odnajdzie wszystkie fałszywe cytryny? O tym będzie można przekonać się

przy Bramie przy ul. Archidiakońskiej.

Sen - fragmenty podświadomości, Grodzka 7 / patio

Jak wyglądałby sen zamieniony w scenografię? Odpowiedź przynosi instalacja Oli Artyszuk. Lustra, kwiaty, oczy i dźwięki stworzą surrealistyczną przestrzeń inspirowaną podświadomością i światem marzeń sennych. To miejsce zaprojektowano z myślą o fotografowaniu, ale nie tylko. Każdy odwiedzający stanie się częścią niezwykłego obrazu, który wygląda jak kadr wyjęty prosto ze snu. Miłośnicy efektownych zdjęć z pewnością będą zachwyceni.

Maki, Rynek 9

Noc Kultury bez instalacji Jarosława Koziary? Trudno to sobie wyobrazić. Artysta, którego prace od lat należą do najchętniej fotografowanych punktów programu, tym razem zaprezentuje trzecią część swojego festiwalowego tryptyku.

Po „Heroinach” i „Śmierć to jeszcze nie koniec” przyszedł czas na „Maki” - instalację inspirowaną czerwonymi kwiatami, które pojawią się przy Rynku 9. Czy i tym razem dzieło Koziary stanie się jednym z symboli Nocy Kultury i podbije media społecznościowe?

Orkiestra Wielkich Bębnow, Plac Po Farze

To propozycja dla tych, którzy chcą nie tylko zobaczyć, ale

także poczuć Noc Kultury. Na Placu Po Farze pojawi się Orkiestra Wielkich Bębnow Teatru Makata. To widowisko oparte na potężnych dźwiękach instrumentów perkusyjnych i muzyce inspirowanej tradycjami z Kurpi, Roztocza i Mazowsza.

W programie znalazła się część interaktywna z udziałem publiczności, a kulminacją wydarzenia będzie finałowy koncert ok. godz. 22. Szczególną uwagę zwróci unikatowy wielomembranowy bęben, będący jednocześnie elementem scenografii. Jego konstrukcja jest jedyną taką na świecie. To jedno z tych wydarzeń, które najpierw usłyszycie, a dopiero później zobaczycie.

Scena Rapu, Browar Perła, ul. Bernardyńska 15

Miłośnicy hip-hopu powinni skierować się do Browaru Perła. Na Scenie Rapu wystąpią m.in. Kosma Król, lubelski Vin Vinci, Late Night Poems, a także Dobre Flow i Lekka Strona Ciężaru. Emocji nie zabraknie również podczas freestyle'owej bitwy (godz. 21.00-22.30), w której najlepsi nawijacze i nawijaczki zmierzą się o tytuł mistrza oraz nagrodę w wysokości 3 tys. zł. To propozycja dla wszystkich, którzy chcą zakończyć Noc Kultury przy mocnych bitach i dobrej energii.

Wszystkim życzymy dobrej zabawy.

Były żołnierz WOT trafił za kraty. Oblał człowieka benzyną i podpalił

Aleksandra Szymczak
Lublin/Łęczna

Sąd zdecydował o trzymiesięcznym areszcie dla 47-letniego byłego żołnierza Wojsk Obrony Terytorialnej, podejrzanego o usiłowanie zabójstwa ze szczególnym okrucieństwem.

Według śledczych mężczyzna miał oblać benzyną kolegę swojego syna i podpalić go. Ofiara w bardzo ciężkim stanie przebywa w szpitalu. 47-latek usłyszał zarzuty usiłowania zabójstwa ze szczególnym okrucieństwem, spowodowania ciężkiego uszczerbku na zdrowiu oraz kierowania gróźb.

Jak poinformowała rzeczniczka Sądu Okręgowego w Lublinie, decyzja o areszcie obowiązuje do 29 sierpnia. Sąd uzasadnił ją przede wszystkim wysokim zagrożeniem surową karą pozbawienia wolności.

O sprawie pisaliśmy szeroko w środowym „Kurierze”. Przypomnijmy, że do tragedii doszło w niedzielne (31 maja) popołudnie na jednej z posesji w powiecie łęczyńskim. Z ustaleń prokuratury wynika, że dwóch młodych mężczyzn naprawiało samochód, gdy na miejsce przyjechał 47-letni ojciec jednego z nich, żołnierz WOT.

Między mężczyzną a kolegą syna miało dojść do gwałtownej sprzeczki. Według śledczych podejrzany podczas awantury oblał młodego męż-

czynę benzyną, a następnie go podpalił.

Pokrzywdzony doznał rozległych obrażeń i w ciężkim stanie został przewieziony do szpitala w Łęcznej, zajmującego się leczeniem oparzeń.

Po zdarzeniu sprawca odjechał z miejsca. Policjanci zatrzymali 47-latkę po krótkich poszukiwaniach w sąsiedniej miejscowości. W chwili zatrzymania mężczyzna znajdował się pod wpływem alkoholu.

Sledztwo w sprawie brutalnego ataku prowadzi prokuratura. Za zarzucane czyny podejrzanemu może grozić nawet kara dożywotniego pozbawienia wolności.

Wojska Obrony Terytorialnej poinformowały w poniedziałek, że zatrzymany mężczyzna pełnił służbę wojskową w 2 Lubelskiej Brygadzie Obrony Terytorialnej.

Dowódca jednostki podjął decyzję o jego zwolnieniu ze służby. W opublikowanym komunikacie podkreślono, że w szeregach WOT nie ma miejsca na zachowania godzące w dobre imię Sił Zbrojnych RP, munduru wojskowego oraz wartości, które powinny cechować żołnierza. Jednocześnie zaznaczono, że sprawa nie miała związku z wykonywaniem obowiązków służbowych ani realizacją zadań wojskowych. Ze względu na dobro prowadzonego postępowania WOT nie przekazują dodatkowych informacji.

Na Górkach Czechowskich odkryto kolejne szczątki ludzi

Adrianna Romanek
Lublin

W trakcie badań prowadzonych przez IPN odnaleziono jedną jamę grobową zawierającą szczątki dziesięciu osób, prawdopodobnych ofiar niemieckich egzekucji z okresu II wojny światowej.

Biuro Poszukiwań i Identyfikacji IPN poinformowało o zakończeniu VIII etapu prac prowadzonych na Górkach Czechowskich w Lublinie. Działania realizowano od 11 do 29 maja br. w ramach śledztwa prowadzonego przez Oddziałową Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Lublinie. Badania prowadzono w centralnej części głównego wąwozu, na obszarze bezpośrednio przylegającym do terenów przebadanych w poprzednich latach. To właśnie tam w latach 2022-2025 ujawniono pięć zbiorowych mogił kryjących szczątki ponad 60 osób.

Miejsce tegorocznych prac łączyło się bezpośrednio z przebadanym do tej pory obszarem: w rozszerzeniu terenu w wąwozie głównym, w okolicach tzw. mogiły legionisty - poinformowało Biuro Poszukiwań i Identyfikacji IPN.

W trakcie badań założono sondaż o maksymalnych wymiarach 27 na 18 metrów i głębokości dochodzącej do 4,3 metra. Łącznie przebadano około 312,4 mkw. powierzchni.



Prace prowadzono na obszarze ponad 300 mkw w dniach od 11 do 29 maja br.

W tym obrębie odkryto jedną jamę grobową zawierającą szczątki dziesięciu osób.

Wstępne oględziny wykazały, że były to szczątki osób dorosłych - dziewięciu mężczyzn i jednej kobiety. Wiek większości ofiar oszacowano na 20-50 lat, natomiast w jednym przypadku na 40-60 lat.

W co najmniej dwóch przypadkach zlokalizowano otwory wlotowe o charakterystycznych cechach postrzału z broni małokalibrowej. Jednakże, w celu weryfikacji oraz potwierdzenia obrażeń, wymagane są dalsze badania, w tym rekonstrukcja kości - podał IPN.

Badacze zwrócili również uwagę na stan części kości czaszki. Niektóre z nich były rozdrobnione lub nosiły ślady potencjalnych złamań, w obrębie

których mogło dojść do urazu lub przestrzału.

Wszystkie ofiary były ubrane, a większość miała na sobie obuwie. Przy szczątkach odnaleziono także przedmioty osobiste, m.in. medalik z wizerunkiem Matki Bożej Niepokalanej, szczoteczka do zębów, szklaną buteleczkę niewiadomego pochodzenia, dwa ołówki, metalowe sprzączki oraz cywilne guziki.

Jak podkreśla IPN, charakter odnalezionych przedmiotów może wskazywać, że ofiary przed śmiercią były przetrzymywane w miejscu odosobnienia.

Ujawnione przy ofiarach pojedyncze przedmioty (zwłaszcza szczoteczka do zębów) wskazują, że zamordowani przetrzymywani byli wcześniej w miejscu odosob-

nienia. Korespondują one z artefaktami odnalezionymi podczas poprzednich etapów prac - przekazało Biuro Poszukiwań i Identyfikacji IPN.

Wg IPN, kolejne odkrycie potwierdza, że badany fragment wąwozu był wykorzystywany jako miejsce tajnych pochówków ofiar niemieckich egzekucji z więzienia na Zamku w Lublinie.

Wszystkie odnalezione szczątki zostały ekshumowane i przekazane do dalszych specjalistycznych badań. Zabezpieczono również odnalezione przedmioty, które zostały włączone jako materiał dowodowy do śledztwa prowadzonego przez prokuratora Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Lublinie.

Koniec z szukaniem żyły „na ślepo”. Nowoczesny sprzęt trafił do dzieci

Adrianna Romanek
Lublin

Nowoczesne skanery naczyń krwionośnych trafiły do Uniwersyteckiego Szpitala Dziecięcego. Mają ułatwić zakładanie wkładek najmłodszym pacjentom, ograniczając ból i stres.

Badania krwi i zakładanie wenflonu to nic przyjemnego dla pacjenta, zwłaszcza małego dziecka. W Uniwersyteckim Szpitalu Dziecięcym w Lublinie ma się to jednak zmieniać. Wszystko dzięki trzem nowoczesnym skanerom naczyń krwionośnych, które 1 czerwca trafiły do szpitala. Sprzęt został przekazany przez Stowarzyszenie „Życie z chorobą nie musi być smutne” im. Karoli Majewskiej.

Jak podkreślają lekarze, pobieranie krwi czy zakładanie wenflonu to jedne z najczęściej wykonywanych procedur me-

dycznych w szpitalu. Choć dla personelu są codziennością, dla dzieci często wiążą się z bólem, stresem i lękiem.

Badania laboratoryjne są podstawą diagnostyki praktycznie wszystkich chorób. Nie ma właściwie hospitalizacji bez badań dodatkowych, w tym pobierania krwi - podkreśla Beata Kulik-Rechberger, zastępca kierownika Oddziału Patologii Niemowląt i Pediatrii. Jak zaznacza, szczególnym wyzwaniem są wkłucia u noworodków i niemowląt, których naczynia krwionośne są bardzo małe i często słabo widoczne.

Nowe urządzenia mają wesprzeć personel medyczny właśnie w takich sytuacjach. Skaner naczyń krwionośnych, zwany także iluminatorem żył, wykorzystuje światło podczerwone do precyzyjnego zlokalizowania naczyń znajdujących się pod skórą. Dzięki temu możliwe jest dokładniej-



Szpital dziecięcy otrzymał trzy nowoczesne skanery naczyń krwionośnych

sze zaplanowanie miejsca wkłucia.

Do najważniejszych zalet urządzenia należy zwiększenie skuteczności pobierania krwi i podawania leków już przy pierwszej próbie. To szczególnie istotne u małych dzieci

oraz pacjentów z trudnymi do zlokalizowania żyłami.

Mamy nadzieję, że ten sprzęt pomoże znaleźć żyłę i trafić w nią za pierwszym razem. Kilkakrotnie wkłucie jest dla dziecka bardzo bolesne i traumatyzujące. Liczymy, że dzięki no-

woczesnej technologii takich sytuacji będzie znacznie mniej - mówi Beata Kulik-Rechberger.

Cegielki ze szkół z regionu

Zakup sprzętu był możliwy dzięki środkom z różnych inicjatyw charytatywnych, w tym szkolnych kiermaszy „Anioły Karoli”, organizowanych przez uczniów i nauczycieli w wielu miejscowościach w Polsce. Jak podkreśla Ryszard Majewski, prezes Stowarzyszenia „Życie z chorobą nie musi być smutne” im. Karoli Majewskiej, pomysł zakupu skanerów narodził się po rozmowach z personelem oddziałów.

Badaniom zawsze towarzyszą emocje, szczególnie wtedy, gdy pobierana jest krew lub zakładany jest wenflon. Chcieliśmy kupić coś, co realnie ułatwi pracę personelowi i jednocześnie ograniczy stres dzieci - wyjaśnia Majewski. Zwraca uwagę, że sukces

przedsięwzięcia nie byłby możliwy bez zaangażowania szkół uczestniczących w projekcie „Nie jestem sam - pomagam”. Dochód z kiermaszów „Anioły Karoli” od lat wspiera działania na rzecz dzieci wymagających leczenia. Każda złotówka ma znaczenie. Niezależnie od tego, czy kiermasz organizuje duża szkoła w mieście, czy niewielka placówka w małej miejscowości - podkreśla.

W wydarzeniu udział wzięły także Kabaret Smile, który swoją obecnością wprowadził jeszcze więcej radości i uśmiechu na twarze nie tylko dzieci, ale również dorosłych. Artyści od lat wspierają działania na rzecz małych pacjentów, dlatego również tym razem nie zabrakło ich zaangażowania. Z okazji Dnia Dziecka przygotowali specjalne upominki w postaci maskotek, które przekazali dzieciom przebywającym na oddziałach.

©©

WYROK 7 LAT I 8 MIESIĘCY ZA SPOWODOWANIE WYPADKU, W KTÓRYM ZGINEŁO DWÓCH MŁODYCH LUDZI

Toyota z 10 osobami pędziła 130 km/h

Jakub Sarek
Lublin

Sąd Okręgowy w Lublinie skazał Szymona C. na 7 lat i 8 miesięcy więzienia za spowodowanie wypadku drogowego, w którym zginęło dwóch młodych ludzi.

W środę nastąpił sądowy finał głośnej rozprawy ws. wypadku drogowego przy ul. Ogrodowej w Chełmie. Doszło do niego nad ranem 30 marca 2025 r. O jego spowodowanie oskarżony był 20-letni Szymon C. W momencie wypadku miał ponad 2 promile alkoholu w organizmie. W kierowanej przez niego pięcioosobowej Toyocie znajdowało się łącznie dziesięciu młodych mężczyzn, w tym trzech w bagażniku. Filip G. i Mateusz K. - obaj w wieku 18 lat - jazdę przypłacili życiem.

Sąd Okręgowy w Lublinie skazał Szymona C. na karę 7 lat i 8 miesięcy pozbawienia wolności. Dodatkowo, orzekł wobec niego dożywotni zakaz kierowania pojazdami mechanicznymi i zapłaty 10 tys. zł na rzecz Funduszu Pomocy Pokrzyw-



Adw. Jacek Przeciechowski, obrońca Szymona C., nie zadeklarował czy złoży apelację od wyroku

dzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej. Oskarżonego nie było na sali rozpraw.

Sąd zmienił kwalifikację czynu ze spowodowania katastrofy w ruchu lądowym (skazania z tego przepisu domagała się prokuratura) na spowodowanie wypadku drogowego ze skutkiem śmiertelnym. Uznał go też za winnego kierowania pojazdem w stanie nietrzeźwości oraz ucieczki z miejsca zdarze-

nia. Na poczet kary zaliczył Szymonowi C. okres zatrzymania i pobytu w areszcie tymczasowym (od marca 2025 r.).

- Stan nietrzeźwości oskarżonego jest okolicznością bezsporną. Jeśli chodzi o zbiegnięcie z miejsca zdarzenia, to pod uwagę należy wziąć całą sytuację i kontekst - uzasadniał wyrok sędzia Marek Woliński. - Oskarżony po wyjściu z samochodu znajduje się przez chwilę

na miejscu zdarzenia. Później padają słowa od kolegi, który w słowach wulgarnych daje mu do zrozumienia, żeby oddalił się i oskarżony opuszcza miejsce. Pojawia się na miejscu zdarzenia później, po kilkunastu czy kilkudziesięciu minutach. Zrobił to na skutek rozmowy z ratownikiem medycznym. Przychodzi na miejsce zdarzenia, kiedy są już na miejscu funkcjonariusze policji, którzy rozpoczęli już poszukiwanie sprawcy - mówił sędzia.

Niesprawne auto

Zgodnie z homologacją, Toyota przeznaczona była ona do przewozu pięciu osób. W środku - łącznie z Szymonem C. - było ich dziesięć, w tym trzy w bagażniku.

- Jak wynika z akt sprawy termin badań technicznych pojazdu upłynął 18 marca, 2025 r., czyli prawie dwa tygodnie przed zdarzeniem. To oskarżony użytkował ten samochód, który był własnością jego mamy i na oskarżonym ciążył obowiązek zbadania, czy pojazd nadaje się do ruchu. Pojazd bez ważnych badań technicz-

nych nie może być dopuszczony do ruchu, więc jest uznany za pojazd niesprawny technicznie - wskazywał sędzia Woliński.

Z ustaleń biegłych wynika, że Szymon C. Toyotą jechał z prędkością co najmniej 130 km/h w terenie zabudowanym, gdzie obowiązuje ograniczenie do 50 km/h.

Sędzia Woliński przypomniał, że w rozumieniu Kodeksu karnego oskarżony jest osobą młodocianą. Jak dodał, na niekorzyść Szymona C. przemawiały: znaczne stężenie alkoholu, liczba naruszonych zasad bezpieczeństwa w ruchu lądowym, skutek w postaci śmierci dwóch osób, ponadto lżejszych bądź cięższych obrażenia ciała doznały kolejne trzy osoby.

- Na korzyść oskarżonego przemawiają w tym przypadku takie okoliczności, jak młody wiek, jego niekaralność, pojednanie się z pokrzywdzonymi, bowiem oskarżony zawarł w postępowaniu sądowym umowy ze wszystkimi pokrzywdzonymi. Wyraził żal, przeprosił rodziców, zmarłych kolegów

i te przeprosiny zostały przyjęte - zauważył sędzia Woliński.

Jak podkreślił, kierowanie samochodem w stanie nietrzeźwości umożliwili oskarżonemu pasażerowie. Zagrzewali go też do szybszej jazdy. A trzech z nich weszło do bagażnika dobrowolnie.

Obrona złoży apelację

Wyrok jest nieprawomocny. Prokuratura domagała się dla Szymona C. kary 14,5 roku więzienia, z kolei obrona wnioskuje o nadzwyczajne złagodzenie kary poniżej ustawowego minimum 5 lat pozbawienia wolności.

Adw. Jacek Przeciechowski, obrońca Szymona C. w rozmowie z dziennikarzami nie chciał oceniać czy wyrok jest łagodny czy nie. Pytany o to czy zamierza złożyć apelację odpowiedział: - Musimy z klientem skonsultować treść wyroku i będziemy potem ewentualnie podejmować dalsze decyzje co do kroków prawnych - czy przyjmiemy ten wyrok, czy będziemy składać apelację w tej sprawie. Zależy też jakie będzie stanowisko prokuratury.

Zmiany w przepisach: wcześniejsi emeryci i renciści mogą więcej dorobić bez konsekwencji

Małgorzata Stempinska
malgorzata.stempinska@polskapress.pl

Bez ograniczeń mogą dorabiać ci, którzy już osiągnęli powszechny wiek emerytalny. Natomiast dorabiający do świadczenia przedemerytalnego muszą się do 1 czerwca rozliczyć z ZUS.

Nowe limity obowiązują od 1 czerwca do końca sierpnia 2026 roku. Przychód do wysokości 6694,10 zł brutto miesięcznie (70 proc. przeciętnego miesięcznego wynagrodzenia) nie będzie miał wpływu na wysokość wypłacanej emerytury lub renty. Jeśli miesięczne zarobki przekroczy tę kwotę, ale nie będą wyższe niż 12431,80 zł brutto (120 proc. przeciętnego miesięcznego wynagrodzenia), ZUS może zmniejszyć świadczenie.

Potrącenie nie może jednak przekroczyć kwoty maksymalnego zmniejszenia, która od czerwca wyniesie:

● 989,41 zł - dla emerytur i rent z tytułu całkowitej niezdolności do pracy,



Nowe limity dorabiania dla wcześniejszych emerytów i rencistów będą obowiązywać od 1 czerwca do 31 sierpnia tego roku

● 742,10 zł - dla rent z tytułu częściowej niezdolności do pracy,

● 841,05 zł - dla rent rodzinnych przysługujących jednej osobie.

Jeśli miesięczny przychód przekroczy 12431,80 zł brutto, ZUS może zawiesić wypłatę

świadczenia. Nowe limity będą obowiązywać do końca sierpnia.

Ich limity nie obowiązują

Są osoby, które mogą dorabiać bez ograniczeń. - To osoby, które osiągnęły po-

wszeczny wiek emerytalny, czyli 60 lat w przypadku kobiet i 65 lat w przypadku mężczyzn, pod warunkiem, że ich świadczenie nie zostało podwyższone do kwoty minimalnej, która od marca tego roku wynosi 1978,49 zł brutto - mówi Krystyna Mi-

chałek, regionalny rzecznik Zakładu Ubezpieczeń Społecznych.

Jeśli przychód z tytułu pracy przekroczy wysokość podwyższenia do minimalnej emerytury, świadczenie za dany okres będzie wypłacane w niższej kwocie, czyli bez dopłaty do minimum.

Limity nie obowiązują również rencistów będących inwalidami wojennymi lub wojсковymi, których niezdolność do pracy pozostaje w związku ze służbą wojskową, a także osób pobierających po nich rentę rodzinną. Bez ograniczeń mogą dorabiać także osoby pobierające rentę rodzinną, jeżeli mają również ustalone prawo do emerytury z tytułu osiągnięcia powszechnego wieku emerytalnego.

Muszą się rozliczyć z ZUS

Przypominamy, że osoby pobierające świadczenie przedemerytalne i jednocześnie dorabiające muszą poinformować ZUS o swoich przychodach uzyskanych w okresie od 1 marca

2025 roku do 28 lutego 2026 roku.

Osoby, które są zatrudnione na podstawie umowy o pracę lub zlecenia, powinny dostarczyć zaświadczenie od pracodawcy lub zleceniodawcy o osiągniętych przychodach, najlepiej z podziałem na poszczególne miesiące. Natomiast prowadzący działalność gospodarczą składają oświadczenie, w którym przychodem jest zadeklarowana podstawa wymiaru składek na ubezpieczenia społeczne. Obowiązek przekazania informacji o przychodach dotyczy również osób pracujących za granicą oraz członków rad nadzorczych.

ZUS rozliczy przychody w sposób najkorzystniejszy dla świadczeniobiorcy, osobno za każdy miesiąc lub łącznie - sumując przychód z całego okresu rozliczeniowego. Zakład sprawdzi, czy świadczenie od marca 2025 roku do lutego 2026 roku było wypłacane w prawidłowej wysokości, czy powinno zostać zmniejszone albo zawieszona. ©©

KRÓTKO

DŁUGI CZERWCOWY WEEKEND

Polacy wybierają wyjazdy

Polacy na długi weekend czerwcowy podróżują głównie do Włoch, ale dużą popularnością cieszy się również Hiszpania - wynika z danych przedstawicieli branży turystycznej zebranych przez PAP. W przypadku podróży krajowych najwięcej turystów wybiera się nad Bałtyk.

Za większą część, bo ok. 40 proc. wszystkich rezerwacji, odpowiadają podróże dla dwóch osób, wyjazdy dla rodzin stanowią 25 proc. całości. Ponadto ponad połowa klientów wybiera w tym okresie

wyjazdy z noclegami ze śniadaniem, a 43 proc. rezerwacji dotyczy hoteli 4-gwiazdkowych.

- W przypadku Bożego Ciała widzimy, że wielu naszych użytkowników traktuje ten termin jako przedsmak wakacji. Wybierają wyjazdy, które pozwalają zarówno odpocząć, jak i poczuć atmosferę nowego miejsca bez konieczności planowania dłuższego urlopu, który oszczędzają na szczyt sezonu - stwierdziła Joanna Kwiatkowska z biura podróży.

WOJEWÓDZTWO OPOLSKIE

Kwietne kobierce na procesję



W trzech wsiach należących do parafii w Kluczu procesje tradycyjnie przeszły wzdłuż ułożonych przez mieszkańców kwietnych kobierców. Zwyczaj ten został wpisany na krajową listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego i listę UNESCO.

EKOLOGIA

Darmowa kranówka w lokalach

Rewolucja w polskich lokalach wejdzie w życie już 12 sierpnia. Od tego dnia restauracje, bary i kawiarnie zostaną prawnie zobowiązane do tego, aby na życzenie klienta na stole pojawiła się darmowa kranówka. Przepisy określają jasny limit - lokale będą musiały podać bezpłatnie do 0,5 litra wody na osobę. Woda będzie serwowana w naczyniach

wielokrotnego użytku lub wielokrotnego napełniania, bezpośrednio do stolika lub w miejscu wydawania posiłków.

Wprowadzenie tych zmian ma na celu przede wszystkim drastyczne ograniczenie ilości generowanych śmieci.

Co ciekawe, we Włoszech sąd uznał niedawno, że lokale nie mają takiego obowiązku.

RAPORT NCK

Tylko 1 proc. Polaków wskazuje 4 czerwca jako powód do dumy narodowej, podczas gdy pamięć o bitwie pod Grunwaldem napełnia dumą już 24 proc. respondentów. Jak zaznaczył Antoni Głowacki z Narodowego Centrum Kultury, problem nie polega na braku pamięci o transformacji, lecz na tym, że społeczeństwo postrzega ją jako długotrwały proces, a nie jedno symboliczne wydarzenie.



4 czerwca 1989 roku wybraliśmy nową Polskę, to była czerwona kartka dla komunistów

Lech Wałęsa

Kolejne weto prezydenta? Przed nami miesiące sporów

Dorota Kowalska
Warszawa

Sejm, po miesiącach dyskusji, uchwalił wreszcie ustawę o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu. Pytanie, czy podpisze ją prezydent.

Szykuje nam się kolejna polityczna burza. W zeszłym tygodniu Sejm uchwalił ustawę o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu. Za głosowało 230 posłów, 198 było przeciw, 1 wstrzymał się od głosu. Wśród posłów koalicji, którzy zagłosowali przeciw, byli politycy Polskiego Stronnictwa Ludowego: Marek Biernacki, Andrzej Grzyb, Urszula Nowogórska i Jacek Tomczak.

Ustawa o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu zakłada, że dwie osoby pełnoletnie będą mogły zawrzeć umowę u notariusza, która - rejestrowana w USC - umożliwi stronom m.in. wybór ustroju majątkowego, ustanowienie obowiązku alimentacyjnego, uzyskanie prawa do korzystania ze wspólnego mieszkania oraz nadanie drugiej osobie uprawnień do dostępu do informacji medycznych i działania jako pełnomocnik w sprawach codziennego życia.

Teraz ustawa trafi na biurko Karola Nawrockiego i tu mamy problem. Paweł Szefermaker, prezydencki minister stwierdził, że „nie ma i nie będzie zgody pana



FOT. WOJCIECH WOJTKIEWICZ

Nie podpiszę żadnego prawa, które będzie stanowiło alternatywę dla małżeństwa - powiedział prezydent

prezydenta na legalizację związków partnerskich”.

- Mamy kontekst próby siłowego wprowadzenia transkrypcji związków partnerskich, które poza granicami kraju nazywane są małżeństwami jednopłciowymi. Pierwszym krokiem jest wprowadzenie związków partnerskich, drugim jest transkrypcja, a następnie prowadzi to do przysposobienia i adopcji dzieci. Taka polityka małych kroków. Nie będzie zgody pana prezydenta na wprowadzanie quasi-małżeństwa do polskiego prawa - powiedział Szefermaker, dodając, że prezydent „będzie chciał

życzliwie spojrzeć na rozwiązania wprowadzające status osoby bliskiej”.

Do sprawy odniósł się także sam Karol Nawrocki.

- Jestem strażnikiem konstytucji. Mimo tego, że jestem krytyczny po ponad 30 latach do konstytucji z 1997 roku, to jak regularnie powtarzam, będę strażnikiem tej konstytucji do samego końca mojego albo jej. W tej konstytucji jest wprost zapisane, że małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny.

Nie podpiszę żadnego prawa, które będzie stanowiło alternatywę dla małżeństwa - stwierdził

zapytany o to, czy podpisze przyjętą w piątek ustawę.

Nawrocki dodał jednak, że ze względu na toczony w Pałacu Prezydenckim rozmowy różnych środowisk, jest gotów podpisać ustawę dotyczącą statusu osoby najbliższej, jeżeli nie będzie ona ideologiczna i nie będzie „stanowiła furty dla alternatywy małżeństwa i podważania polskiej konstytucji”. - Jeśli znajdziemy rozwiązania, które pomogą osobom w statusie osoby najbliższej na funkcjonowanie formalne, administracyjne, a nie będą niosły ze sobą rozwiązania ideologicznej presji czy próby podważania wyjątkowego statusu małżeństwa, to taką ustawę podpiszę. Mam nadzieję, że taką uda się wypracować - powiedział.

Pytanie, jak długo owe prace potrwać i kto je prowadzić. Nad ustawą o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu politycy koalicji rządzącej pochylali się długie miesiące, bo co tu dużo mówić, ustawa rodziła się w bólach.

Kwestia uregulowania sytuacji osób pozostających w nieformalnych związkach była jedną z kluczowych dla koalicji 15 października. Co więcej, domagają się tego Polacy. Jak wynika z sondażu Opinia24 dla „Faktów” TVN i TVN24, ponad połowa z nas opowiada się za wprowadzeniem związków partnerskich. Sprzeciw wobec tego pomysłu wyraża co trzeci badany. PAP

Katastrofa śmigłowca w Małopolsce. Maszyna rozbiła się na zboczu Lubogoszczy. Zginął pilot

Oprac. Alina Mazurska

Lecki śmigłowiec był poszukiwany wczoraj od godz. 2 w nocy. Przed godz. 8 ratownicy odnaleźli rozbity wrak śmigłowca oraz ciało pilota.

Lecki śmigłowiec Robinson R44 Raven II był poszukiwany od godz. 2 w nocy po tym, jak Polska Agencja Żeglugi Powietrznej zgłosiła utratę łączności z pilotem. Poszukiwania

prowadzono głównie w rejonie Kasiny Wielkiej i Kasiny Małej w powiecie limanowskim, gdzie po raz ostatni zarejestrowano sygnał maszyny.

Przed godz. 8 ratownicy odnaleźli rozbity wrak śmigłowca oraz ciało pilota na zboczu góry Lubogoszcz w Beskidzie Wyspowym.

W akcji uczestniczyli policjanci, strażacy Państwowej Straży Pożarnej i Ochotniczych Straży Pożarnych, ratownicy GOPR oraz grupy poszukiwaw-

cze. Działania prowadzono w trudnych warunkach terenowych i przy ograniczonej widzialności spowodowanej gęstą mgłą.

Według wcześniejszych nieoficjalnych informacji PAP śmigłowiec wykonywał prywatny lot związany z podróżą na Węgrzy i wracał do Polski.

Helikopter wystartował z Bodrogkisfalud na Węgrzech. Miał wylądować na lotnisku w Zatorze. Ostatni raz radary namierzyły go w okolicach Lu-

bogoszczy w Beskidzie Wyspowym.

Z danych radarowych monitorujących ruch lotniczy wynika, że maszyna była obserwowana przez system ADS-B na wysokości około 850-1000 metrów nad poziomem terenu. Następnie sygnał został nagle utracony.

Okoliczności katastrofy będą wyjaśniać Państwowa Komisja Badania Wypadków Lotniczych oraz prokuratura. PAP

Atak Izraela po ogłoszeniu porozumienia o rozejmie

Oprac. Karolina Wrońska
Liban

Wczoraj Izrael zaatakował południową część Libanu. Stało się to zaledwie kilka godzin po ogłoszeniu w Waszyngtonie porozumienia obu krajów w sprawie zawieszenia broni.

Libańska Narodowa Agencja Informacyjna (NNA) poinformowała o izraelskich atakach dronów wzdłuż dróg w trzech miejscowościach południowego Libanu. AFP przekazała, że co najmniej jeden z nalołów spowodował ofiary, nie sprecyzowała jednak, czy chodzi o zabitych, czy rannych.

Skrajnie prawicowy minister bezpieczeństwa narodowego Izraela Itamar Ben-Gwir nazwał wynegocjowany przy mediacji Waszyngtonu rozejm „poważnym błędem”. Zawieszenie broni jest „złudzeniem doradców, którzy nakłaniają premiera (Izraela Benjamina Netanajahu) do podejmowania złych decyzji” - napisał w czwartek na portalu X.

W oświadczeniu wydanym po dwóch dniach rozmów w Waszyngtonie Izrael i Liban ogłosiły w środę, że „zgodziły się na wdrożenie zawieszenia broni”. Ma być ono uzależnione od całkowitego zaprzestania ataków przez proirańską organizację szyicką Hezbollah i wycofania się wszystkich jej bojowników z obszaru na połu-



Wspierany przez Iran Hezbollah pozostaje poza kontrolą rządu w Bejrucie. Na początku marca grupa włączyła się do wojny USA i Izraela z Iranem, po stronie Teheranu

dnie od rzeki Litani w Libanie. Strony zgodziły się też na utworzenie „stref pilotażowych”, w których armia libańska przejmie wyłączną kontrolę nad terytorium, odsuwając od niej wszelkie podmioty niepaństwowe.

Izrael podkreślił, że trwały pokój wymaga rozbrojenia Hezbollahu i likwidacji jego infrastruktury na terytorium całego Libanu. Strona libańska z kolei zadeklarowała wzmocnienie zdolności swoich sił zbrojnych, przy wsparciu USA, w celu objęcia „efektywnej kontroli na całym terytorium kraju”.

Hezbollah zapowiedział we wtorek, że nie zaakceptuje żadnego częściowego zawieszenia broni z Izraelem, a „każda agresja ze strony syjonistycznego wroga wywoła jeszcze silniejszą reakcję” tego ugrupowania.

Doradca przewodniczącego parlamentu Libanu Nabiha Ber-

Izrael podkreśla, że trwały pokój wymaga rozbrojenia Hezbollahu i likwidacji jego infrastruktury na terytorium całego Libanu

riego powiedział we wtorek, że głównym żądaniem Berriego pozostaje „kompleksowe zawieszenie broni”, czyli „zaprzestanie nalołów, z lądu i morza, oraz brak wyburzeń i zniszczeń” w południowym Libanie. Berri jest liderem szyickiego ruchu Amal, sojusznika Hezbollahu.

Wspierany przez Iran Hezbollah pozostaje poza kontrolą rządu w Bejrucie. Na początku marca grupa włączyła się do wojny USA i Izraela z Iranem, po stronie Teheranu. Izrael odpowiedział operacją zbrojną, zajmując południe Libanu i tworząc tam „strefę buforową”. PAP

Tragiczne spotkania z rekinami. 19-latka i 11-latek stracili nogi

Marcin Koziestański
Brazylia

19-letnia kobieta straciła nogę w brutalnym ataku rekina na plaży Boa Viagem zaledwie dwa dni po tym, jak w pobliżu został zaatakowany 11-letni chłopiec.

Zaledwie 24 godziny po tym, jak 11-letni chłopiec stracił nogę w ataku rekina w pobliżu Recife w Brazylii, na tym samym odcinku wybrzeża doszło do kolejnego przerażającego incydentu.

1 czerwca 19-letnia Marcela Vitória de Lima Santos została zaatakowana przez rekina podczas kąpieli na plaży Boa Viagem, jednym z najbardziej znanych miejsc ataków rekina w Brazylii. Według licznych doniesień, podczas ataku rekina od-

gryzł jej prawą nogę. Przewieziono ją do lokalnego szpitala, a następnie do Hospital da Restauração w Recife, gdzie przeszła pilną operację. Jej stan nadal jest poważny.

W sieci krąży materiał filmowy pokazujący skutki ataku, jednak większość mediów zamazała nagranie ze względu na jego drastyczność.

Do zdarzenia doszło dzień po tym, jak 11-letni João Lucas Castor Nemezio Sales został zaatakowany na pobliskiej plaży Piedade. Również stracił nogę, ale jego stan ustabilizował się po pilnej operacji.

Ataki rekina zdarzają się rzadko na świecie, ale wybrzeże Pernambuco jest jednym z najlepiej udokumentowanych miejsc występowania rekina. PAP



Rekin zaatakował nastolatkę. To drugi taki przypadek w ciągu doby na tym wybrzeżu

11 państw, w tym Polska, zaapelowało do KE o wstrzymanie wydawania wiz Rosjanom

Oprac. Karolina Wrońska
Luksemburg

Dziewięć państw UE oraz Islandia i Norwegia wystosowały list do Komisji Europejskiej z apelem o dodatkowe restrykcje wizowe dla Rosjan oraz kontrolę, czy kraje Unii przestrzegają ograniczeń.

Pod listem podpisali się m.in. szef polskiego MSZ Radosław Sikorski oraz szef MSWiA Marcin Kierwiński. Poza nimi podpisy złożyli też ministrowie Szwecji, Czech, Danii, Estonii, Finlandii, Łotwy, Litwy, Holandii, a także dwóch państw spoza UE, ale należących do Schengen, czyli Islandii i Norwegii.

Wiceszef MSWiA Maciej Duszczyk przed spotkaniem ministrów spraw wewnętrznych UE w Luksemburgu zapowiedział, że na posiedzeniu szefów



Maciej Duszczyk: Polska poparła apel do KE

MSW krajów unijnych Polska poprze inicjatywę wprowadzenia dodatkowych restrykcji wizowych wobec Rosjan. - Dokument powstał z inicjatywy Szwecji, a strona polska chętnie ją poparła - powiedział Duszczyk. Przypomniał, że War-

szawa już podczas poprzednich spotkań ministrów UE opowiadała się za ograniczeniem Rosjanom możliwości wjazdu do Unii Europejskiej.

- Bardzo dosadnie mówiliśmy, że nie może być tak, że z jednej strony są wprowadzone sankcje, a z drugiej strony wydaje się kilkaset tysięcy wiz turystycznych dla Rosjan, którzy potem wypoczywają na europejskich plażach - podkreślił.

Wiceminister powiedział, że Polska chce skończyć z tym „dualizmem” i dlatego poparła apel do KE.

Wliście ministrowie zaapelowali też do Komisji o nałożenie zakazu wjazdu do strefy Schengen na rosyjskich weteranów wojennych. Chodzi o setki tysięcy osób, które brały udział w wojnie napastniczej Rosji przeciwko Ukrainie. Z tą inicjatywą wystąpiła w marcu Estonia.

Duszczyk przyznał, że temat ten został już poruszony na ostatnim posiedzeniu ministrów głównie przez kraje bałtyckie, ale Polska poparła również ten pomysł. - Obawiamy się, że kiedy wojna się skończy, do UE będzie chciało przyjechać bardzo dużo osób, które prosto mają krew na rękach - powiedział.

Dane UE dotyczące wjazdów do strefy Schengen pokazują, że w ubiegłym roku obywatelom Rosji wydano o 10 proc. więcej wiz niż w 2024 roku. Z informacji PAP wynika, że w 2025 r. Rosjanom przyznano łącznie 623 tys. wiz Schengen, w tym prawie 480 tys. turystycznych. Znaczną część przyznanych uprawnień stanowiły wizy wielokrotnego wjazdu. Najwięcej wiz wydały Francja, Włochy i Hiszpania, a najmniej - Polska, Dania, Rumunia i Szwecja. PAP

Przełom w procesie akcesyjnym Ukrainy

Oprac. Alina Mazurska
Cypr

Cypr, który sprawuje prezydencję w UE, ogłosił, że rozpoczął przygotowania do formalnego otwarcia pierwszego tzw. klastra w negocjacjach akcesyjnych z Mołdawią i Ukrainą.

- Jest to ważny kamień milowy na drodze do integracji europejskiej tych państw i silny sygnał jedności i determinacji UE - poinformowała cypryjska prezydencja w Radzie UE. Zapowiedziała, że będzie dążyć do zakończenia prac w nadchodzących dniach tak, by 15 czerwca w Luksemburgu mogły się odbyć konferencje międzyrządowe z Ukrainą i Mołdawią.

Zgodnie z procesem akcesyjnym państwo kandydujące musi przeprowadzić negocjacje

w oparciu o sześć tzw. klastrów tematycznych. Na początku otwierany jest klaster dotyczący spraw fundamentalnych i to on jest zamykany jako ostatni. W jego ramach negocjowane są kwestie związane z rządami prawa, instytucjami demokratycznymi czy walką z korupcją.

Otwarcie pierwszego klastra z Ukrainą blokowało do tej pory Węgry pod rządami Viktora Orbana. Po przejściu władzy przez Petera Magyara Budapeszt ogłosił rozpoczęcie węgiersko-ukraińskich konsultacji eksperckich na temat uregulowania praw społeczności węgierskiej na Zakarpaciu, gdzie żyje ponad 100-tysięczna mniejszość węgierska.

Z przełomu w procesie akcesyjnym Ukrainy może się również cieszyć Mołdawią, której droga do członkostwa w UE jest powiązana ze ścieżką Kijowa. PAP

FOTOkomentarz tygodnia

1 CZERWCA,
UKRAINA

Rosji coraz trudniej o sukcesy wojskowe na linii frontu, więc sięga po typową dla siebie brutalność wobec cywilów. Tylko 1 czerwca w bombardowaniach Ukrainy zginęło 13 osób (cztery w samym Kijowie), ponad 100 zostało rannych. Rosjanie użyli kombinacji ataków dronowych (650 różnego rodzaju dronów) i raketowych (70 pocisków). Ale obok kolejnych aktów terroru widać coraz większą słabość Rosjan na polu walki. Linia frontu – mimo zapowiadanej na wiosnę ofensywy – stoi właściwie w miejscu. A wojska ukraińskie za pomocą dronów coraz skuteczniej uderzają w zaplecze rosyjskiej armii

FOT. PAP/EPA/MAXYM MARUSENKO



1 CZERWCA, POLSKA. Między innymi w ten sposób dzieci świętowały tegoroczny Dzień Dziecka – bo też bez współczesnych cyfrowych wynalazków najmłodszy często nie wyobrażają sobie życia. Ale rząd uznał, że szkoły powinny być od elektroniki wolne. Od 1 września wejdzie zakaz korzystania ze smartfonów

FOT. PAP/WOJTEK JARGIELO



1 CZERWCA, PŁOCK. Potężny pożar doszczętnie zniszczył ogromną (8 tys. mkw.) halę. Ogień gasiło aż 120 strażaków. Na szczęście obyło się bez ofiar, ale z dymem uleciało wiele miejsc pracy w centrum Płocka

FOT. PAP/SZYMON ŁĄBINSKI



31 MAJA, WARSZAWA. Estończyk Jaan Roose przeszedł po 500-metrowej linii rozciągniętej między Pałacem Kultury i wieżowcem Varso. Prawdziwy spacer w chmurach – bo na wysokości 180 m.

FOT. PAP/PIOTR NOWAK

PULS

#219



Generacja zrób to sam.

Słuchajcie, mam taką teorię - gdyby jutro na dobre wyłączyli internet, prąd i zamknęli wszystkie sklepy, najlepiej z tą apokalipsą poradziłoby sobie pokolenie X. No bo kto inny? Zetki bez technologii mogłyby być bardzo zagubione. Większość milenialsów też miałaby problem ze zbudowaniem szafasu bez instrukcji na YouTube. Boomersi skrzyknęliby się w grupę i dzielnie znosili trudne warunki. Ale prawdziwymi mistrzami przetrwania i jedyną szansą ludzkości na odbudowę cywilizacji byłoby pokolenie X. Oni są jak MacGyver. Ze spinacza i gumy do żucia zbudują wynalazki ratujące życie" - zaczyna swój felieton Anna Szlęzak, psychoterapeutka. I dodaje, że „pokolenie X to ludzie, którzy przetrwali stan wojenny, hiperinflację, trzy bańki spekulacyjne i przejście z faksu na Slacka. To psychologiczny ultramaraton, który od czterdziestu lat nie pozwala im zwolnić, odpocząć i poczuć się w pełni bezpiecznie”.

Pokolenie X to ludzie urodzeni w latach 1965-1980. Rozbieżność niby duża, bo jedni to już dziadkowie, inni wciąż wychowują własne dzieci, ale pewne cechy mają wspólne. Twardzi musieli być od dzieciństwa.

Z kluczem na szyi

Wojtek, rocznik 71., informatyk. Dorastał na Śląsku, rodzice przyjechali tu w poszukiwaniu pracy i lepszej przyszłości. Jakie ma pierwsze skojarzenie z dzieciństwa? Klucz na szyi i młodszy brat uwieszony u nogi.

- W sumie to miałem fajne dzieciństwo! - tak zaczyna.

Rodzice pracowali na poranne zmiany, od godz. 7.00 do 15.00, ale jakąś godzinę zajmował im powrót do domu. Rano mama zaprowadzała Adama, młodszego brata, do przedszkola, on do szkoły maszerował sam. Z kluczem na szyi, jak większość kolegów i koleżanek z klasy. W szkole jadł obiady, drugie śniadanie przynosił ze sobą.

- Wracałem do domu i czekałem na brata, przyprowadzała go zaprzyjaźniona sąsiadka, która chodziła do przedszkola po swoją córkę. Nie pracowała, mąż był górnikiem, więc mogła sobie na to pozwolić. Po przyjeździe Adama robiłem nam kanapki, potem odrabiałem lekcje, a brat się bawił - wspomina.

Dość szybko pojął, ale i Adam też, że im sprawniej działają, tym więcej czasu spędzą z kolegami. Nauczył się kroić chleb, kłaść na niego co tam było w lodówce. Odrabiał lekcje starannie, ale co chwila zerkał na zegarek. Adam wiedział, że nie ma co marudzić i przeskadać, bo wtedy będą

W dzieciństwie nosili klucz na szyi i nauczyli się, że najlepiej liczyć na siebie. Przetrwali stan wojenny, hiperinflację, transformację, trzy bańki spekulacyjne i rewolucję technologiczną. Dzisiaj to oni wciąż napędzają światową gospodarkę, chociaż dla tego świata stali się „niewidzialni”

Dorota Kowalska



Wszystko, przez co przeszli w zawodowym życiu, sprawia, że lksy często zostają w pracy po godzinach, są przemęczeni

POKOLENIE X. TWARDZIELE, O KTÓRYCH TROCHĘ ZAPOMNIAŁ ŚWIAT

dzie siedział w domu, więc jak to mówi Wojtek, „młody współpracował”.

- Rodzice z pracy zawsze wracali zmęczeni. Pytali, jak tam w szkole, czy odrabiałem lekcje, czy nie jesteśmy głodni, Adama, co było na obiad w przedszkolu - wspomina.

Odpowiedzi szły z automatu: „W szkole dobrze”, „Tak, odrabiałem lekcje”, „Nie, nie jesteśmy głodni. Zrobiłem kanapki”. Adam potakiwał i dodawał, że obiad w przedszkolu był smaczny, z nikiem

się nie pobił i pani go pochwałała. Po tym błyskawicznym zdaniu relacji z dnia następowo albo ze swoimi kolegami. Wszyscy trzymali się razem. Do domu musieli wrócić do godziny 19.

- Wiedziałem, że muszę radzić sobie sam. Nie było telefonów, nie było Google'a. Jak coś się stało, mogłem co najwyżej pobiec do sąsiadki. Nie widziałem w tym żadnego heroizmu, wszyscy moi koledzy tak funkcjonowali - wzrusza ramionami Wojtek.

Na podwórku koledzy czekali na nich już od godziny 15. Była gra w piłkę na pobliskim boisku, czyli wykoszonej polanie, wrotki, które on dostał na

gwiazdkę jako pierwszy na osiedlu, był trzepak, zabawy w chowanego. Adam był z nim albo ze swoimi kolegami. Wszyscy trzymali się razem. Do domu musieli wrócić do godziny 19.

- Wiedziałem, że muszę radzić sobie sam. Nie było telefonów, nie było Google'a. Jak coś się stało, mogłem co najwyżej pobiec do sąsiadki. Nie widziałem w tym żadnego heroizmu, wszyscy moi koledzy tak funkcjonowali - wzrusza ramionami Wojtek.

Rodzice, owszem, byli obok, troszczyli się, kochali, ale nie było wylewności, okazania uczuć, przytulania. Uczyli go samodzielności, a właściwie samodzielności uczyło go życie. Tata pokazywał mu, jak dbać o wrotki, jak nasmarować łańcuch w rowerze, nawet dziurę w piłce sami zakleili łąką. Długo nią już nie pograł, ale starczyło na jakiś czas.

Jako dorosły mężczyzna trzy razy wyremontował mieszkanie, naprawia w domu

wszystkie sprzęty, do fachowców dzwoni tylko wtedy, kiedy wie, że z problemem sobie nie poradzi. Inni jego znajomi też tak mają.

- Mówiąc szczerze, z rozrównaniem wspominał tamte czasy. Było trudniej, biedniej, ale dorastaliśmy razem, w grupie. Nie było komputerów, musieliśmy sami wymyślać zabawy, organizować sobie czas - mówi.

Tak, czuje się przez to twardszy, odporniejszy, bardziej zaradny, chociaż pewnie z dzisiejszej perspektywy ktoś powiedziałby, że był dzieckiem niezaopiekowanym. Nie odbiera tak tego. Takie były czasy, tak funkcjonowała większość dzieciaków w jego dzielnicy. No chyba że ktoś miał blisko dziadków, ale zazwyczaj jeździło się do nich na wakacje. Rodzice kolegów, tak jak jego, przyjechali na Śląsk, nie mieli tu rodziny. Musieli sobie radzić bez jej wsparcia, ich dzieci - czyli oni - także. Więc zawsze było przedszkole, potem szkoła i najlepiej studia. Rodzice cały czas im powtarzali, że mają się uczyć, bo jak się już wykształca, czeka na nich praca, a jak będą pracować, z czasem kupią pierwsze mieszkanie, samochód, pojedą na wakacje.

- W czasach mojego dzieciństwa świat wydawał się uporządkowany. Wszyscy mieli po tyle samo, raczej mało niż dużo, ścieżka życiowa też wydawała się jasno określona - opowiada Wojtek. Skończył szkołę, potem studia, i ani jednego dnia nie przepracował w wyuczonym zawodzie.

Nowe czasy, nowe wyzwania

„Pokolenie X nie miało łatwego w życiu, i to nie tylko ze względu na wymagające dzieciństwo. Świat na wejściu obiecał względną stabilność i przewidywalność tylko po to, żeby potem ci ludzie musieli patrzeć, jak co kilkanaście lat kompletnie staje na głowie. Od dziecka słyszeli, że jeśli będą ciężko pracować i trzymać się zasad, to wszystko się ułoży. A potem zasady zmieniły się na ich oczach praktycznie co chwilę” - mówi Anna Szlęzak. I dodaje, że „kiedy lksy wchodziły na rynek pracy, w Polsce skończył się komunizm i rozpoczął trudny okres transformacji. Z jednej strony oznaczało to nowe możliwości, z drugiej niepewność zatrudnienia, drastyczne reformy i ogromne bezrobocie. Na oczach lksów walił się stary porządek i w nie małym chaosie rodził się nowy”.

No tak, dość szybko okazało się, że trzeba się przebrnąć albo w ogóle szukać pracy w zupełnie innym niż wyuczonym zawodzie. Do tego, kiedy już wydało się, że lksy oparowały rzeczywistość, pojawiły się komputery, internet

- i znowu musieli się w tym wszystkim odnaleźć.

Anna, rocznik 67. Skończyła studia, ale jakoś nie wyobrażała sobie pracy w szkole, a mogła w niej uczyć języka polskiego. Dużo dzieci, hałas, pensja taka sobie. Chciała pisać. To był świetny czas dla dziennikarstwa, otwierały się nowe redakcje: szukano młodych, zdolnych, pełnych pasji. Poszła do jednej z nich. Redaktor naczelny kazał jej napisać dwa teksty, to zobacz, czy się nadaje.

- Napisałam, przyniosłam. Pozwolono mi zostać miesiąc na okresie próbnym. Po tym czasie dostałam umowę; na początku płacono mi za ilość napisanych artykułów, ale pisałam ich tak dużo, że w pewnym momencie szefostwo doszło chyba do wniosku, że taniej będzie, jak dadzą mi umowę o pracę - wybucha śmiechem.

Bo pracowała, wszyscy tak pracowali, jak opętana. Od rana do późnej nocy. Spotkali się w redakcji około godz. 8.00, szef rozdzielał tematy, wcześniej poranny dyżurnant obdzwaniał policję, straż pożarną, urzędy, żeby zorientować się, co się dzieje w regionie. Nie było internetu, nie było całonocnej telewizji. Każdy temat trzeba było wyszarpać, wychodzić. Po kolegium jechali w teren. Potem wracali do redakcji, pisali tekst i gadali godzinami przy kawie.

Wychodzili z redakcji około 22.00. Szaleństwo! Nie dlatego, że musieli. Chcieli. Szybko wciągnęła ją ta robota: wyjazdy, rozmowy z ludźmi i tekst podpisany jej nazwiskiem. Miała poczucie misji? Wzrusza ramionami.

- Nie wiem, po prostu lubiłam to, co robię. I miałam wrażenie, że to coś ważnego. Wtedy gazety sprzedawały się w setkach tysięcy egzemplarzy, ludzie nas czytali, pisali do nas - tak odpowiada. - To był dziwny czas, trudny, ale też dający wiele możliwości. Z mojej klasy z liceum wszyscy poszli na studia. Potem w większości próbowali się odnaleźć w nowej rzeczywistości, bo wchodziliśmy na rynek pracy w czasach transformacji - opowiada.

Spogląda na klasowe zdjęcie z liceum. Ewa skończyła romanistkę, pojechała do Paryża, zrobiła tam studia podyplomowe, wróciła do Polski i natychmiast dostała pracę we francuskim koncernie, który wchodził właśnie na rynek Europy Środkowej i Wschodniej. Ona też pracowała od rana do późnej nocy.

Marek - mieli w liceum rozszerzony język francuski, od szkoły podstawowej uczyli się języka rosyjskiego; też załapał się w jakiejś zachodniej korporacji. Ela, jak tylko było można, wyjechała do Anglii. Monika uczy w szkole, Anka kilka lat

po studiach otworzyła własny biznes. Każdy jakoś sobie poradził.

Kuba - pokazuje na zdjęciu chłopaka z bujną czupryną - w pewnym momencie się przebranżowił. Zawsze był dobry z przedmiotów ścisłych. Zaczynał jako nauczyciel matematyki, dzisiaj prowadzi firmę informatyczną. Tak, musieli się cały czas uczyć, dostosowywać do zmian, a świat pędził w zastraszającym tempie.

- Kiedy zaczynałam, pracowaliśmy na starych Macintoshach, a kierowca woził co wieczór do drukarni makiety stron - wybucha śmiechem. - Dzisiaj wszystko jest zautomatyzowane, większość dziennikarzy pracuje z domów i łączy się z redakcją na Teamsach - dodaje.

Brakuje jej tamtych redakcji? Tamtej atmosfery? Na pewno tak.

Nastawieni na pracę

Wszystko, przez co przeszli w zawodowym życiu - transformację, prawdziwy skok technologiczny - sprawia, że Iksy często zostają w pracy po godzinach, wielu z nich to pracoholicy; potwierdzają to zresztą badania. Blisko co trzeci badany Polak deklaruje, że pracuje więcej niż 40 godzin tygodniowo - wynika z raportu „Polki i przedsiębiorczość 2024: Dynamika czasu pracy”. Wśród przedsiębiorczyń ten odsetek wynosi z kolei aż 42 proc. Najwięcej pracują osoby z pokolenia X - aż 43 proc. z nich ponad 40 godzin tygodniowo.

Przedstawiciele pokolenia X często spędzają w jednej firmie wiele lat i mocno się z nią identyfikują. Uważają też, że samo miejsce pracy czy zawód, który wykonują, jeśli te cieszą się wystarczającym szacunkiem, są już swego rodzaju nagrodą, dla której można czasami pocierpieć: zostać dłużej w pracy, przemiłować brak podwyżki czy premii, machnąć ręką na fanaberie szefa. Iksy są odpowiedzialne, efektywne i lojalne wobec pracodawcy.

Cenią sobie stabilizację, ważna jest również dla nich godziwa pensja. Utrzymują rodziny, często pomagają też rodzicom albo dorosłym już dzieciom. Także z tego powodu cenią sobie przewidywalność. Dla nich zmiana pracy to ostateczność - kojarzy im się wyłączenie ze stresu, brakiem stabilności. Więc, mówią szczerze, harują jak woły, żeby było „po staremu”, żeby nic się nie zmieniło.

„Być może trochę licząc na to, że uchroni ich to przed kolejną katastrofą albo przynajmniej pozwoli odłożyć wystarczająco dużo pieniędzy, żeby przetrwać kolejny kryzys. Życie nauczyło ich, że zawsze muszą być przygotowani na najgorsze i że nieważni, jak bardzo dążą do stabilności,

świat i tak pewnie znowu zrobi im jakiegoś bolesnego psikusa, nawet kiedy mają nadzieję na coś dobrego. No i tak przygotowują się na wszystko, co może pójść nie tak” - mówi w swoim felietonie Anna Szlęzak.

I często idzie nie tak. Pokolenie X według danych GUS stanowi dziś 36,5 procent wszystkich pracujących w Polsce. To oni zarządzają zespołami i utrzymują ciągłość biznesową, często uchodzą za ekspertów w swoich dziedzinach. Mimo to w wielu firmach osoby między 45. a 59. rokiem życia są „niewidzialne”, Iksy rzadziej chociażby uczestniczą w szkoleniach niż przedstawiciele innych pokoleń. Firmy wychodzą z założenia, że pracownik w tym wieku „już zrobił swoje”, więc przestają w niego inwestować.

Dane Eurostatu są jednoznaczne: Polska szybciej niż średnia unijna traci dojrzałych pracowników. Nie dlatego, że ci chcą odchodzić, ale dlatego, że systemowo są wypychani z rynku pracy.

Powód? Wszelkie stereotypy na temat Iksów. Chociażby ten, że to pokolenie

Przedstawicielom pokolenia X zarzuca się także wypalenie zawodowe. Tyle tylko, że cierpią na nie również przedstawiciele dużo młodszych pokoleń.

Niewidzialni dla świata

Nie tylko w pracy Iksy stają się „niewidzialne”. Przedstawiciele generacji X, a więc współcześni czterdziestolatkowie i pięćdziesięciolatkowie, to najbogatsza grupa klientów. Firmy skupiają się jednak głównie na generacji Z. Zdaniem analityków z agencji mediowej Wavemaker wszystko za sprawą błędnego postrzegania Iksów. Analitycy postanowili przyjrzeć się problemowi: przeprowadzili własne ankiety i wywiady, przeanalizowali istniejące badania. Łącznie przebadano prawie 200 tysięcy przedstawicieli pokolenia X z całego świata. Swoje spostrzeżenia eksperci opublikowali w raporcie: „Finding the Gen X Factor. Confronting marketing mishaps and bias to over-45s in social”.

Do jakich doszli wnioski? Osoby należące do generacji X reprezentują 31 procent globalnej populacji. Jeżeli jednak chodzi o badania rynkowe,

IKSY MAJĄ DOŚĆ. ŻYJĄ TROCHĘ W ROZKROKU MIĘDZY POKOLENIEM SWOICH RODZICÓW I DZIECI. ZMĘCZENI, PRZECIĄŻENI, CZĘSTO WYPALENI

analogowe. To prawda, ale szybko uczy się cyfrowych rozwiązań.

Dane OECD wskazują, że luka kompetencyjna między nimi a przedstawicielami młodszych generacji jest coraz mniejsza. I wcale nie jest tak, że Iksy nie lubią zmian. Nowego boją się wszyscy albo prawie wszyscy. Są za to przyzwyczajeni do tego, że w życiu trzeba sobie radzić, sporo przeżyli, więc szybko adoptują się do nowych sytuacji.

Pokolenie X wie, jak działa Facebook, ogląda YouTube'a, jest na WhatsAppie, ale korzysta z nich i możliwości, jakie niesie rozwój nowych technologii, kiedy tego potrzebuje. Robi zakupy przez internet, płaci przez niego rachunki, ale nie daje się wciągnąć przez wirtualny świat.

I wcale nie jest tak, że przedstawiciele pokolenia X nie potrafią pracować w zespołach, bo to kolejny mit na ich temat; ich niezależność nie wynika z braku ducha współpracy. Badania Deloitte nad współpracą międzypokoleniową pokazują, że różnorodność doświadczeń sprzyja efektywności zespołów, a pokolenie X często naturalnie pełni rolę pomostu między stylami pracy młodszych i starszych pracowników.

że są adresatami reklam w mediach społecznościowych.

W kanapce

Ci twardziele, o których trochę zapomnieli świat, nigdy nie mieli w życiu lekko i wygodnie na to, że to się nie zmieni.

„Z jednej strony albo właśnie wychowują dzieci, albo nadal pomagają swoim niby dorosłym, ale wciąż nieustabilizowanym pociechom z pokolenia milenialsów czy zetek. A z drugiej strony muszą się już opiekować swoimi nieuchronnie starzejącymi się rodzicami. Wciśnięci jak ser w kanapce między dwa inne pokolenia, które potrzebują ich wsparcia. Iksy dają z siebie wszystko, ale są też coraz bardziej przeciążone. A jeśli dodać do tego ich charakterystyczną postawę Zosi Samosi, nieumiejętność przyjmowania wsparcia, to ich sytuacja robi się naprawdę poważna” - mówi psychoterapeutka Anna Szlęzak. I dodaje, „że Iksy są trochę jak ten pies z mema siedzący w płonąącym pokoju i powtarzający, że wszystko jest w porządku”.

Agnieszka, rocznik 76. Trzy lata temu kupili z dziećmi dom. Rodzina to ich córka Gosia, jej mąż i dwoje małych wnuków. Zajmują górne piętro, oni mieszkają na parterze.

- Wciąż pracuję zawodowo, mąż też. Kiedy wracamy do domu, wnuki już na nas czekają. Widzą nasz samochód przez okno i momentalnie są na dole - opowiada. Pewnie, że się cieszy. Za Anielę i Antosia dałaby się pokroić. Ale, umówmy się, czasami czuje się zmęczona.

- Zostajemy często z wnuczkami, jak młodzi wychodzą. Bierzymy je ze sobą na wakacje. Są jeszcze małe, trzeba się naprawdę sprężyć, żeby z nimi nadażyć - przyznaje. Czasami mówi: dość. Wyjeżdżają z mężem na weekend albo po prostu udają, że ich nie ma.

- Oprócz pracy, własnego domu, córki mam też tatę na głowie - mówi.

Tata mieszka sam 20 kilometrów od nich. Jeździ do niego raz w tygodniu, najczęściej w soboty rano. Sprząta mu mieszkanie i gotuje na cały tydzień.

- On sam co najwyżej zrobi herbatę, usmaży jajecznicę, przygotuje sobie kanapkę. Zawsze to mama gotowała i sprzątała, więc kiedy odeszła, nagle okazało się, że muszę ją zastąpić - wzdycha. Proponowała tacie zatrudnienie jakieś kobiety do pomocy. Nie zgodził się. „Sam sobie poradzę” - usłyszała. Wiadomo, że sobie nie poradzi.

Musi też ojca wozić na wizyty do lekarzy, sprawdzać, czy przyjmuje lekarstwa, czy zrobić wszystkie opłaty. Jednak nie skarży się.

Magda, koleżanka, jeździ do rodziców co dwa tygodnie, 130 kilometrów w jedną stronę. Żyją oboje, ale są już dobrze po osiemdziesiątce. Nagotuje, opierze, posprząta i wraca. Waldek wziął matkę do siebie - ma duży dom, wygospodarował dla niej pokój. Podobnie zrobiła Marta ze swoim tatą.

„The Economist” pisze tak: „Mają na głowie coraz starszych rodziców i własne dzieci. Nie zrobili zawrotnej kariery. Często nie dorobili się nawet własnego domu, nie wspominając o pokaznym majątku. Są coraz starsi, zaczynają podupadać na zdrowiu, a wiele wskazuje na to, że pozycją początek upadku systemu emerytalnego na własnej skórze. Oto pokolenie X - najbardziej zapomnianych i rozczarowanych życiowo osób. Ostatnie badanie przeprowadzone przez Ipsos w 30 krajach pokazuje, że 31 proc. pokolenia X twierdzi, że jest „niezbyt szczęśliwe” lub „w ogóle nie jest szczęśliwe”, co stanowi najwyższy odsetek spośród wszystkich pokoleń. David Blanchflower z Dartmouth College odkrył, że wszelkiego rodzaju negatywne emocje - od nieszczęścia, przez niepokój, po rozpacz - osiągną szczyt w wieku około 50 lat.

Iksy mają dość. Żyją trochę w rozkroku między pokoleniem swoich rodziców i dzieci. Zmęczeni, przeciążeni, często wypaleni. I świadomi, że właściwie nie mają wyjścia. Nie proszą o pomoc, bo życie ich nauczyło, że najlepiej liczyć na siebie.

Z drugiej strony, coraz częściej - o czym pisze „The Economist” - zastanawiają się, czy było warto tak ciężko pracować, tak bardzo się poświęcać, tak przeć do przodu. Bo co właściwie dzisiaj z tego mają? Ale nawet jeśli czasami przyjdzie im do głowy taka myśl, szybko machają ręką i biegną dalej: bo urodziny wnuka, bo lekarz mamy, bo roczne sprawozdanie w pracy. Nie ma się co marzyć - trzeba się wzięć w garść, bo „jak nie my, to kto?”.

Anna Szlęzak mówi tak: „Prawdziwe wzięcie się w garść to odwaga, żeby w końcu przestać być MacGyverem dla całego świata i stać się nim dla samego siebie. To moment, w którym patrzysz w lustro i przyznajesz: »Tak, ten silnik w mojej głowie zgrzyta, ale nie muszę już dłużej udawać, że wszystko jest w porządku tylko dlatego, że inni na mnie polegają«. Potraficie reanimować martwy akumulator na mrozie, ogarnąć Excela i zarządzać chaosem w domu, jakbyście byli dowódcami jednostki specjalnej. Macie tę legendarną sprawczość niemal wdrukowaną w swoje DNA, więc może czas w końcu przekierować ją także na siebie”.

KOMU BIJE DZWON W RUDZKIM MOŚCIE

Parafia musi zapłacić 30 tys. zł za zakłócanie spokoju dźwiękiem dzwonów kościelnych. Wyrok jest nieprawomocny, ale w małej miejscowości pod Tucholą budzi skrajne emocje

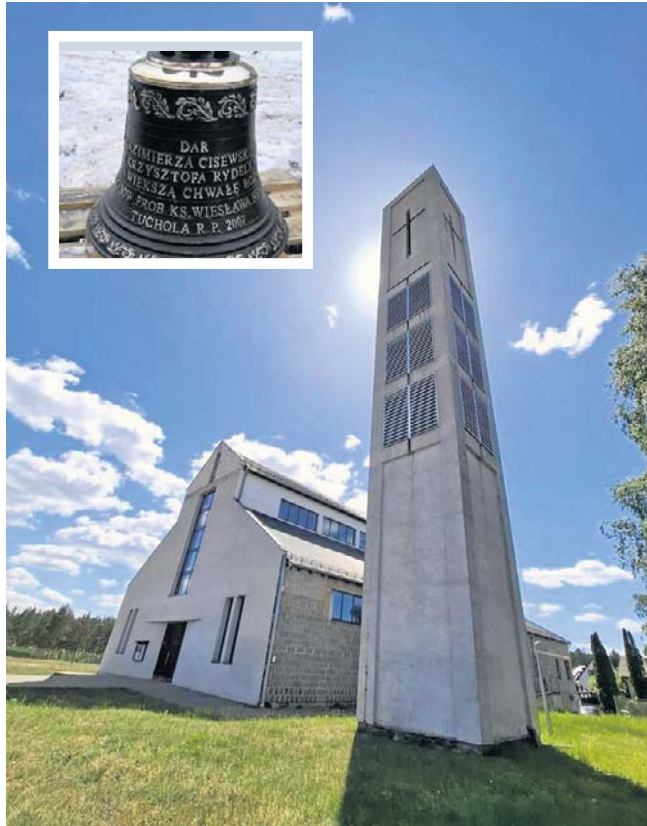
Maciej Czerniak

Osiedle domów jest sennie. Ciche podjazdy, pas szeregowców z jednej strony kościoła. Z drugiej większe, nieco willowe budynki, z perfekcyjnie utrzymaną przydomową zielenią. Ogródki osiadłe, okrzepłe, rozwinięte w sposób właściwy osiedlu, które istnieje już kilkanaście lat. Może dłużej. Żadne tam łanowe, półdzikie parcele, rozedrgane odgłosami betoniarok. Tu już „zamieszkanie” wydarzyło się.

Ludzie jeszcze w pracy, w końcu to przedpołudnie w środku tygodnia. W domu, w którym miałem nadzieję zastać moją rozmówcę, szczeka pies. Podchodzę raz i drugi. W końcu decyduje, że zacznę od księdza. Mieszka niemal po sąsiedzku. Na tyłach kapliczki, poprzedniczki świątyni, która 12 lat temu wyrosła między ulicami Wydmową i Obrońców Polski.

„Szczęść Boże i dzień dobry” - mówię przez zamknięte drzwi. Pytam, czy zastałem ks. proboszcza Wiesława Herolda. Słyszę, że tak, ale pada prośba, by spotkać się później i „wtedy porozmawiamy”. Ksiądz musi coś załatwić w mieście.

W Sądzie Rejonowym w Tucholi akta sprawy, jaką wytoczył parafii Opatrzności Bożej w Rudzkim Moście jeden z mieszkańców, zajmują tylko dwa tomy. W końcu sprawa to dość nieskomplikowana, choć obie strony sporu angażuje już od 10 lat. Epilog dzwonowej epopei nastąpił 22 maja. Zapadł wyrok. Sąd nakazał parafii ograniczenie „immisji dźwiękowych” przez „użytkowanie w związku z wszystkimi uroczystościami religijnymi, w tym mszami, pogrzebami, procesjami, wyłącznie najmniejszego dzwonu, maksymalnie dwa razy dziennie w dni powszednie oraz trzy razy dziennie w niedziele i święta na okres nie dłuższy niż 3 minuty”. Mało tego, dzwon i tak nie może rozbrzmieć, choćby nawet w tej sprawie nikt nie wnosił o apelację. Dlaczego? Sąd zdecydował, że najpierw trzeba zainstalować na dzwonnicy „właściwie działający mechanizm”, ograniczający



Założenie na wieży rolet, za którymi skryły się dzwony, nie załagodziło sporu

czas dzwonienia do 2 minut. Dodatkowo parafia ma zapłacić skarżącemu ją mieszkańcowi Rudzkiego Mostu 30 tysięcy złotych zadośćuczynienia.

Zestaw lux w tonacji Maryjnej

Ta historia zaczyna się w 2010 roku, kiedy parafia kupuje dzwony za pieniądze подарowane 3 lata wcześniej przez dwóch parafian. O sprawie szeroko i wielokrotnie informował „Tygodnik Tucholski”. Z informacji przedstawianych przez ten tytuł wynika, że darczyńcy to „znani mieszkańcy Tucholi”. Każdy z nich przekazał na ten cel po 50 tys. zł. Jednym z ofiarujących był Kazimierz Cisewski, przewodniczący rady parafialnej, drugim przedsiębiorca Krzysztof Rydelek.

Dzwony zamówiono w renomowanym zakładzie, w Ludwisarni Felczyńskich-Taciszów - przedsiębiorstwie odlewnictwa i konserwacji działającym od 1808 r. Parafia kupiła tam zestaw lux grający w „tona-

cji Maryjnej Fis A H”. Spizowe dzwony waży ponad 800, ponad 500 i ponad 350 kg.

W dokumencie ludwisarni, w specyfikacji dzwonów, napisano formułkę: „Żywych zwołuje, zmarłych opłakuje, bohaterów słaWi, wszystkim przypomina obowiązek względem Boga”. Rozbrzmiały dopiero w 2015 r., kiedy ukończono budowę wieży dzwonowej. Zamiast jednak nieść w świat niebiańską harmonię, podzieliły mieszkańców. Pojawiły się opinie, że dzwonią po prostu za głośno. To, że hałas był zbyt duży, potwierdziło m.in. badanie zleczone przez starostę w Tucholi. Wykonawcą tego zlecenia była firma Akutix z Poznania, a badanie wykazało przekroczenie dopuszczalnej głośności dzwonów o 17,9 db.

W 2016 r. w sprawie zaangażował się jeden z mieszkańców Rudzkiego Mostu, Waldemar Piotrowski. W czerwcu tego samego roku w Starostwie Powiatowym w Tucholi podpisano porozumienie między Piotrow-

skim a ks. Heroldem. Postanowienie było kompromisowe: na dzwonnicy miały zostać zainstalowane żaluzje, a potem duży dzwon miał być uruchamiany tylko przy wyjątkowych okazjach, podczas Świąt Wielkanocnych i na Boże Narodzenie. Porozumienie zakładało również, że parafia przeprowadzi na swój koszt pomiar hałasu, dzwony mały i średni będą używane przed każdym nabożeństwem, a średni na Anioł Pański, ale nie dłużej niż na 2 minuty.

Na tym koniec? Bynajmniej. Ostatecznie żaluzje zamontowano, ale bez odbioru budowlanego wieży. Nadzór stwierdził, że kwestie dotyczące poziomu emitowanego dźwięku nie leżą w gestii inspektorów.

Problem w tym, że kiedy pojawiały się te rolety, to dźwięk zamiast ulec wygłuszeniu, został skierowany ukośnie w dół, prosto na domy, które znajdują się po sąsiedzku, przy kościele - mówi jedna z mieszkanek. Nie chce zdradzać swojego nazwiska. - Tu za blisko jest i zbyt wielu można by się narazić. My tu przecież mieszkamy - zaznacza.

Poza tym dzwony nie biły - jak zakładało porozumienie - tylko przez 2 minuty. Dlaczego? Ks. Wiesław Herold zarzeka się, że próbował tak ustawić mechanizm, by dźwięk rozchodził się tylko w tym konkretnym określonym czasie. - Kiedy ustawi się dzwony na 2 minuty, to tolerancją wynosi jedną minutę mniej lub więcej - tłumaczy duchowny. - Próbowaliśmy skonfigurować mechanizm, ale co się stało? Nastąpiła awaria: przepalił się elektromagnes. Naprawa była kosztowna.

Hałas faktycznie był nie do wytrzymania, głowę rozszalało - mówi jeden z mieszkańców. - A najsmieszniejsze, że petycję o to, żeby dzwony zostały, podpisali m.in. ludzie mieszkający z dala. Słyszałem od znajomych, którzy mieszkają 3 kilometry od nas, że im to nie przeszkadza. No jasne, jak się mieszka daleko...

Urzędowa kakofonia

Od porozumienia w 2016 r. zatem niewiele się zmieniło.

Owszem, na dzwonnicy pojawiły się żaluzje, ale hałas nie zniknął. Dopiero w 2023 roku sprawa została skierowana na inne tory. Ponownie, po staraniach Waldemara Piotrowskiego, starosta zlecił badanie głośności dzwonów. Tym razem wybrana została bydgoska firma Ekosonic. Wynik różnił się od pierwszego, ale również wykazano przekroczenie dopuszczalnej normy dźwięku. O 14,6 db. Do starosty wpłynęło pismo, w którym domagano się tego, by urząd wydał decyzję o dopuszczalnym poziomie hałasu dzwonów kościelnych, starostwo jednak odmówiło wszczęcia postępowania w tej sprawie. Kolejny etap historii to odwołanie skierowane do Samorządowego Kolegium Odwoławczego, które z kolei uchyliło decyzję starosty i skierowało sprawę do ponownego rozpatrzenia.

Piotrowski nie składał bronii: zwrócił się do policji i do wojewódzkiego inspektora ochrony środowiska w Bydgoszczy. Tucholska komenda w maju 2024 r. umorzyła postępowanie. Decyzja „o niewniesieniu” sprawy do sądu zawierała stwierdzenie, że „czyń nie zawiera znamion wykroczenia z artykułu 5 par. 1 pkt 2 Kodeksu postępowania w sprawach o wykroczenia”.

Z kolei kontrola przeprowadzona przez bydgoskich inspektorów ochrony środowiska wykazała przekroczenia dopuszczalnego poziomu hałasu. Ostatecznie pozew do sądu złożył sam Piotrowski. Sąd Rejonowy w 2024 r. zdecydował, że konieczne będzie „zabezpieczenie roszczeń” powoda. Do czasu rozstrzygnięcia zakazał używania dzwonów w kościele w Rudzkim Moście.

Z jednej strony Watykan, z drugiej „obóz harcerski”

Proces trwał zatem w ciszy. Na jednej z rozpraw, podczas której sędzia Marcin Dobies odbierał wyjaśnienia od świadków, głos zabrał również ksiądz Herold. - Dzwony nie są hałasem - zaznaczał, powołując się również na wolności konstytucyjne. - Ja mam nakaz od Kościoła do dzwonienia na pogrzeb według prawa kanonicznego, mnie grozi wyrzucenie z parafii - dodał.

Z kolei jedna z mieszkanek zeznająca na sali rozpraw nie gryzła się w język, opisując wrażenia estetyczne, jakich doświadczała, słuchając dzwonów w parafii Opatrzności Bożej. - Najważniejsze, że te dzwony były bardzo uciążliwe - mówiła. - Ten ich dźwięk jest piskliwy, jak łyżką o garnek na obozie harcerskim. Wszędzie dzwony biją głęboko, a te w Rudzkim Moście biją przeraźliwie. Dodała, że dźwięk dzwonów z wieży kapliczki (poprzedniczki obecnego kościoła) był cichszy.

Piotrowski pisał do Diecezji Pelplińskiej, a nawet do Waty-

kanu. Stolica Apostolska jednak uznała, że nie ma podstaw, aby zakazać używać dzwonów w kościele pod Tucholą. W dokumentacji procesowej znajduje się takie stwierdzenie powoda, odnoszące się do odpowiedzi z Watykanu: „Otrzymałem informację, że używanie dzwonów kościelnych jest kultem religijnym i nie mają w swojej kompetencji nakazu zaprzestania ich używania”.

Krótko po tym, kiedy sąd zakazał uruchamiania dzwonów do czasu rozstrzygnięcia, parafia, jako głos diecezjalny, zajęła stanowisko, wydając oświadczenie: „Po zwołaniu nadzwyczajnego spotkania Rady Duszpasterskiej, Rady Ekonomicznej oraz przedstawicieli grup duszpasterskich przy parafii Opatrzności Bożej postanowiłem, jako proboszcz, poprzeć sprzeciw przeciwko powyższej decyzji, która została wydana na podstawie jednej osoby niepraktykującej przy naszej parafii”. Pod dokumentem złożyło podpisy ponad 90 parafian.

Ksiądz wrócił na plebanię i - zgodnie z zapowiedzią - rozmawiamy w zaciszu biura parafialnego.

Interwencję do Stolicy Apostolskiej ks. Herold określa jako nedorzeczną, ale ostatniego wyroku nie chce komentować. Formalnie szczegółów uzasadnienia sądu nie zna, bo wciąż czeka na pismo w tej sprawie. Kiedy jednak wypłynęła informacja o orzeczeniu, zamówił w „Tygodniku Tucholskim” ogłoszenie, zachęcając wierznych do udziału w manifestacji. W odpowiedzi na pikietę przed Sądem Rejonowym w Tucholi przyszło kilkadziesiąt osób. Były transparenty: „Dzwon to nie hałas, to znak wspólnoty” i „Nie róbcie z kościoła trybu cichego”.

- Ja mam płacić? Nie rozumiem tego. Dzwony to nieodłączny element kościoła - mówi ks. Herold. - Naprawdę chciałem dotrzymać warunków porozumienia z 2016 roku, ale były problemy techniczne - podkreśla, dodając, że ma poczucie niesprawiedliwości.

Waldemar Piotrowski, którego zastają popołudniem w domu, nie gryzie się w język. Zaznacza, że całej sprawy by nie było, gdyby proboszcz wykazał wolę współpracy wcześniej. - Nie działałem sam. Za mną byli ludzie, którzy zgłaszali mi uciążliwość dzwonów.

Piotrowski kandydował w 2018 r. w wyborach samorządowych, ubiegał się o mandat radnego, ale ostatecznie nie uzyskał stanowiska. - Prowadziłem wtedy kampanię, spotykałem się z mieszkańcami. Obiecałem im, że sprawę dzwonów doprowadzę do końca niezależnie od wyniku wyborów.

Jeżeli wyrok się utrzyma, zasądzone na jego rzecz pieniądze chce przekazać organizacji pomagającej dzieciom z wadą słuchu. ©

WOLNOŚĆ SŁOWA. WARTOŚĆ KLUCZOWA

Wolność słowa każde pokolenie odkrywa na nowo - bo w każdym pokoleniu media są całkowicie inne. Ale jeśli tej kluczowej wartości nie uda się zachować, to zmiany w ekosystemie mediów staną się jedynie pustą formą, bez treści

Agaton Koziński

W styczniu 1941 r. Franklin D. Roosevelt wygłosił tradycyjne „orzędzie o stanie Państwa”. Ale choć amerykańscy prezydenci tego typu mowy głaszają co roku, to tamto wystąpienie nabrało wydźwięku ponadczasowego, uniwersalnego. Dziś jest ono znane jako orzędzie „Cztery wolności”. Roosevelt opisywał w nim, jak powinien wyglądać świat po zakończeniu II wojny - bo choć USA wtedy jeszcze nie weszły do globalnego konfliktu (nastąpiło to pod koniec 1941 r.), to już wtedy było wiadomo, że II wojna światowa okaże się punktem zwrotnym w dziejach.

Roosevelt wskazał cztery kluczowe obszary, o które należy dbać: wolność słowa i wypowiedzi, wolność wyznania, wolność od niedostatku, wolność od strachu. Ale na tą pierwszą położył



Medal Wolności Słowa to nagroda wręczana od 2021 r. dla osób zasłużonych w obronie tej kluczowej wartości

najsilniejszy akcent. „Pierwszą z nich jest wolność słowa i wypowiedzi, na całym świecie” - podkreślił.

Dziś wydaje się, że wolność słowa to wartość tak po-

wszechna, że oczywista. Że jest jak powietrze, jak podatki, jak wschód słońca rano - coś, czego nigdy nie zabraknie. Ale to tylko ułudą. „Nasze życie jest ciągłą walką” - mawiał Eurypides. Do-

tyczy to także wolności słowa. Uda się ją zachować tylko wtedy, gdy ciągle będzie miała własnych rzeczników gotowych jej bronić.

Bronić przed czym? Choćby przed błyskawicznymi zmianami zachodzącymi w naszej rzeczywistości. Wolność słowa jest wartością zagwarantowaną w polskiej konstytucji. Ale przyjrzyjmy się bliżej zapisom artykułu 54.:

„1. Każdemu zapewnia się wolność wyrażania swoich poglądów oraz pozyskiwania i rozpowszechniania informacji.

2. Cenzura prewencyjna środków społecznego przekazu oraz koncesjonowanie prasy są zakazane. Ustawa może wprowadzić obowiązek uprzedniego uzyskania koncesji na prowadzenie stacji radiowej lub telewizyjnej”.

Od razu widać lukę w zapisach konstytucyjnych - bo w za-

den sposób nie obejmuje ona internetu. Teoretycznie rzecz biorąc media cyfrowe nie mają zagwarantowanej ochrony w konstytucji. Oczywiście, to konsekwencja chwili stworzenia ustawy zasadniczej, wtedy internetu zwyczajnie nie było. Ale już choćby to pokazuje, jak wolność słowa potrafi być ulotna.

Media zawsze idą na przódzie wszelkich zmian. To środowisko

szalenie dynamicznie, wyznaczające standardy zmian na świecie. Tak się działo zawsze, tak też jest teraz w czasach rewolucji cyfrowej. Ale bez zapewnienia fundamentu, jakim jest wolność słowa, ta zmiana będzie tylko pustą formą pozbawioną treści. Jeśli ta kluczowa dla demokracji wolność ma zostać zachowana, trzeba o nią dbać w każdym pokoleniu.

MEDAL WOLNOŚCI SŁOWA

Wskazań kandydatów do uhonorowania Medalem Wolności Słowa można dokonywać poprzez wypełnienie formularza zgłoszeniowego na stronie internetowej <https://medal.fundacja-grandpress.pl>. Kandydatów mogą zgła-

ścić:
• kolegia redakcyjne mediów
• władze organizacji pozarządowych, fundacji i stowarzyszeń
• pełnoletni obywatele Polski
Zgłoszenia przyjmowane są do 12 czerwca.

AUTOREKLAMA

0111521052



Forum Dostawców Przemysłu Energetycznego i Obronnego
Rzeszów 2026

Już 15 czerwca w Rzeszowie Forum Dostawców Przemysłu Energetycznego i Obronnego

Twoja firma może stać się dostawcą w przemyśle energetycznym i obronnym. Wielkie inwestycje czekają także na Ciebie.

TEMATY PANELI:

- Biliony do wydania – jak zatrzymać kapitał w Polsce?
- Finansowanie projektów strategicznych
- Transformacja energetyczna jako szansa dla polskich firm
- Polski przemysł zbrojeniowy – od podwykonawcy do integratora

Zapisz się już dziś!

energiazpolski.pl

Udział bezpłatny.
Liczba miejsc ograniczona.

ORGANIZATOR

POLSKA PRESS GRUPA

PATRONAT MEDIALNY

strefa BIZNESU.pl

PATRONAT HONOROWY



MIETEK SZCZEŚNIAK: SKŁADAMY SIĘ Z CIAŁA I DUSZY, TRZEBA WIĘC NAKARMIC JEDNO I DRUGIE

Niektórym mogło się wydawać, że gdzieś zniknął, ale to nieprawda. Nagrywał i koncertował za oceanem. Teraz przywiózł stamtąd nową płytę – „Brothers”. Nam opowiada o swej równie wielkiej pasji jak śpiewanie – o sadownictwie

Parwel Gzyl

Pana dokonania z ostatnich lat wskazują, że równie często co w Polsce pracuje pan w Stanach Zjednoczonych. Jak to możliwe?

A normalnie: jak zamykają się drzwi, to otwiera się okno. (śmiej) Lub inaczej - kiedy coś dzieje się przypadkiem, to podobno Pan Bóg występuje incognito. Tak mawiają mądrzejsi od nas. Jakiś czas temu spotkałem się z amerykańską wokalistką i producentką Wendy Waldman na wymianie artystycznej ze Stanami Zjednoczonymi. Powstał pomysł, żeby twórcy polskich i amerykańskich piosenek napisali coś razem. I Wendy, znana na świecie choćby z piosenki „Save The Best For Last” Vanessy Williams, zaznała współpracy ze mną (śmiej). Zdarzyło się nam tak, że przez dwa dni zrobiliśmy trzy piosenki po angielsku. Mówiąc potocznie - zażarło między nami.

Wendy Waldman jest cenioną artystką z kręgu folku i country. Panu raczej bliższy jest soul, funk i gospel. Jak znaleźliście tak dobre porozumienie?

Wendy prezentuje szerszy sposób myślenia o amerykańskiej muzyce, jak Bob Dylan czy Joni Mitchell. Ma otwarty umysł, jest z pokolenia dzieci kwiatów, kocha jazz, bluesa i rock and roll. Uprawia folk i pop podszty innymi stylami. Dopiero będąc w USA przekonałem się, jak wielu jest wirtuozów wśród muzyków folk, country czy bluegrass. To naprawdę wybitni instrumentalści i wokaliści. Pracowaliśmy z Wendy sporo, poszło nam naprawdę sprawnie i owocnie. Nagraliśmy z tych naszych spotkań płytę „Signs” w 2011 roku. A potem przyszedł czas na album z chórem Life Choir z Los Angeles pod wodzą H.B. Barnuma.

To też znamienita postać i tym razem zdecydowanie panu bliższa.

Bezsprzecznie. Zaprzyjaźniłem się z nim, zanim doznałem wiedzy, z kim pracował i pracuje. Bo przez ponad 30 lat był kierownikiem muzycznym zespołu Arethy Franklin, a wcześniej produkował dla legendarnej wytwórni Motown nagrania takich wykonawców, jak Frank Sinatra, Ray Charles, Gladys Knight, The Jacksons 5. Nie miałem pojęcia, że to taka znamienita postać, bo przed naszym spotkaniem pewnie tak by się skończyło, że musiałbym zmieniać pieluchę. (śmiej)

Jak to się stało, że tacy uznani muzycy zechcieli pracować z wokalistą z Polski?

Ja z końca drogi i jeszcze na lewo spotkałem tam dwa światy: Wendy z amerykańskiego folku i H.B. Barnuma z soulu i gospel. Oni teraz razem współpracują, robią fajne rzeczy, a ja się cieszę ich przyjaźnią. Naprawdę mam tam w Los Angeles rodzinę. I właściwie mogę śmiało powiedzieć, że pracuję na dwóch kontynentach. Ostatnią swoją płytę „Nierówni” z wierszami ks. Jana Twardowskiego do moich kompozycji w stylu samby i bossa novy zrobiłem z Brazylijczykami w Stanach Zjednoczonych. Taką możliwość daje ten kraj, bo to mozaika kulturowa, największy eksperyment na ludzkości. Jeśli chcesz nagrać płytę z Brazylijczykami - to ją nagrywasz. Jeśli chcesz nagrać gospel z Afroamerykanami - też możesz. No i skorzystałem z tej okazji, bo sprzyjali mi ludzie, których tam poznałem. Oni pokochali mnie, a ja ich. Rzadko się zdarza taka przyjaźń na życie, szczególnie w średnim wieku. Cieszę się więc nią, tym miejscem, tymi możliwościami. Oni są starsi ode mnie,

ale mamy takie same pasje, tak samo kochamy muzykować i mamy coś, co jest najważniejsze, bo daje wewnętrzną młodość - pasję oraz ciekawość odkrywania świata i człowieka. To jest coś niezależnego od wieku i narodowości. Niby skorupka się starzeje, a ta kwintesencja życia ciągle się żarzy i tętni.

Tym razem nagrał pan singiel z zespołem Wendy - The Refugees. W Ameryce określa się go supergrupą, bo wchodzi w jego skład znane tam osobowości.

To właśnie „Everybody Body And Soul” - pierwszy singiel zrobiony z nimi. Cidny Bullens grała z Eltonem Johnem czy Bobem Dylanem i nadal cieszy się ich przyjaźnią. To nietuzinkowa postać. Deborah Holland tworzyła z kolei w zespole Animal Instinct ze Stewartem Copelandem z The Police. Obie ciągle nagrywają płyty, piszą świetne piosenki, są aktywnymi artystkami. W naszym mieszczańskim podejściu do życia uważa się, że kiedy ktoś przekroczył pewien wiek, to jest już mało zdolny do wysnuć energii ze świata. A to jest niezależne od wieku, ale od pasji i ognia.

Ten ogień słycać w piosenkach z płyty „Brothers”, które odwołują się do bluesa, soulu i funku. Co pana tak fascynuje w tej muzyce?

Stało się to dzięki Jadwidze Skolarskiej z Polskiego Radia, która puszczała fajne płyty. Nie było wtedy internetu i nie mieliśmy dostępu do muzyki z Zachodu. Czasem tylko pojawiały się w sklepach rzadziej reedycje The Beatles, zrobione na podstawie podobno kradzionych materiałów. (śmiej) Kiedy usłyszałem Arethę Franklin z czarnoskórym chórem - doznałem

ośnienia. Że jest taka wspólna muzyka, że są ludzie, którzy tak cudnie śpiewają, mają niesamowitą barwę głosu i ekspresję, że złożenie melodyki i harmonii, kompozycji i rytmu może być podane na wiele sposobów. Przesła mi wtedy ochota na bycie śpiewakiem operowym, do czego pragnęła mnie przygotować moja nauczycielka - pani Lidia Małachowicz. Twierdziła, że jestem diamentem operowym i zdobędę sceny świata, ale ja byłem głodny większej ilości harmonii i rytmu. I to mi zostało: ciągle podziwiam muzykę, która powstała w wyniku spotkania białego i czarnego człowieka. Tak narodził się najpierw spirituals, potem gospel, blues, soul, funk i inne. Muzyka wyciekła z czarnych kościołów do popu i protestancy pastorzy mieli o to pretensje, że stała się świecka. A to przecież oni zaczęli rap podczas swych kazań. (śmiej) Poznanie tego wszystkiego na własne oczy to jedna z największych przygod mojego życia.

Zaśpiewanie tych piosenek z afroamerykańskim chórem musiało być więc dla pana poruszającym przeżyciem.

Tak. Ale tu nie chodzi o snobowanie się na jakieś gwiazdy, tylko o spotkanie tej kultury na żywo i uczestniczenie w niej. Na dodatek oni czasem zadawali mi pytanie: „Jakbyś chciał, żebyś chór zaśpiewał?”. Myślałem sobie wtedy: „Aha, coś tu nie gra. Chyba sobie jaja ze mnie robią”. (śmiej) A chodziło o rodzaj szacunku, jaki do mnie mieli. Zresztą ja mam podobne podejście - jak jest talent, to trzeba za niego podziękować i dobrze go wykorzystać, bo samemu się go nie wymyśliło, nie ma więc powodu, żeby zadzierać nosa. Trzeba tylko

Kurier Lubelski
Piątek-niedziela, 5-7.06.2026

dobrze zadziałać i być za to wdzięcznym.

Ci uznani artyści z Ameryki byli zdziwieni, skąd w białym człowieku z dalekiej Polski taki czarny głos?

Oni spotykają bardzo wielu utalentowanych ludzi, bo przecież Ameryka jest największym eksperymentem na ludzkości. Tam każdy pochodzi z dziesięciu nacji, ras i kultur. Dlatego nie jest trudno w Ameryce spotkać utalentowanego człowieka. Stąd miałem obiekcje, żeby nagrywać coś po angielsku. Jeszcze przed nagraniem „Signs” mówiłem do H.B. Barnuma: „Jaki to ma sens? Przecież ja mam uszy i świadomość, ilu wspaniałych artystów mieliście, macie i mieć będziecie u siebie. Po co jeszcze ja? Po co drewno wozic do lasu? Ja mam swoją piękną publiczność w Polsce”. A on mi na to: „Mietek, ja cię zachęcam, bo mnie nie obchodzi, jak ty wyglądasz czy skąd pochodzisz. Mnie obchodzi to, że ty opowiadasz językiem, który zrozumie każdy człowiek na Ziemi - mówisz językiem duszy”. To było dla mnie wprost przejmujące. Przecież każdy z nas potrzebuje potwierdzenia swojej wartości i sensu tego, co robi, szczególnie od swego mentora, którym stał się dla mnie H.B. Barnum. A nie brakowało w Polsce takich, którzy mówili: „A ten to naśladuje Murzynów” albo „A ten to wyśpiewuje jakieś piosenki o Bogu, to trzeba go skasować”. Nigdy nie rozumiałem ludzi, którzy tak myślą. Jeżeli składamy się z ciała i duszy - trzeba nakarmić jedno i drugie, bo dopiero wtedy opowiadamy o całym człowieku.

Co sprawiło, że piosenki z płyty odwołują się do brzmień z przełomu lat 60. i 70.?

W tym zalewie elektroniki i nudy nowych kompozycji już najwyższy czas, by posłużyć się prawdziwym podejściem do muzykowania, czyli graniem praktycznie na żywo w studiu. Ludzie, instrumenty, głosy. To zupełnie inna wibracja, inne nasycenie emocją. Dzięki temu ta muzyka może skrócić dystans z głowy do serca i na odwrót.

Teksty piosenek z „Brothers” mają pozytywne przesłanie, nawołujące do wewnętrznej przemiany. Taki przekaz w naszych mrocznych czasach jest dla pana ważny?

Bardzo. Myślę, że zmiana świata zaczyna się od zmiany samego siebie i zmiany tych, których kochamy. Bo jeśli jest już dwoje ludzi, którzy tak samo myślą, to kolejna ilość tych dwojerek daje masę, która może coś naprawdę zmienić.

Mówił pan o „Brothers” już od dłuższego czasu. Trudno było wydać ten materiał w Polsce?

(śmiej) Nagrałbym w swym życiu chyba dwa razy więcej płyt, gdybym z wydaniem każdej nie miał tylu trudności. Taką mamy infrastrukturę, takich mamy wydawców, takie mamy media. Nie tylko ja mam takie trudności, ale wielu innych artystów, którzy starają się opowiedzieć swoją historię własnym językiem. Między nami a publicznością są media i wydawcy. Jeżeli oni stają okoniem, to ludzie nie są w stanie dowiedzieć się, co robimy. Nie ważne, czy płyta jest po angielsku, czy o ciebie, czy o duszy, czy może razem wziętych. To kwestia niesprawnie działającego systemu.

Mimo tych kłopotów z mediami i wydawcami, w zeszłym roku zaczął pan obchody czterdziestolecia swej kariery. Trudno utrzymać się tyle czasu w show-biznesie?

Mnie się udało, bo dostałem największą nagrodę, jaką artysta może dostać - czyli uwagę publiczności. Zagościłem na dobre w jej wyobraźni. Mimo dziur w swojej obecności w polskim życiu artystycznym, ludzie chcą mi towarzyszyć. Na moich koncertach bywają dziś trzy pokolenia. A to dlatego, że dla mnie nie muzyka była najważniejsza, ale przesłanie. To, co powoduje, że człowiek obcuje z piosenką, zostaje zainspirowany do ważniejszych rzeczy niż ta piosenka. Nigdy nie chciałem ludzi frustrować, dodawać do tego świata wynurzeń na temat własnego smutku. Chciałem raczej wspierać i pomagać. I myślę, że mi się to po części udało. Mam tego przykłady w pięknych listach i rozmowach podczas podpisywania płyt po koncertach.

Przepustką do kariery stało się dla pana zwycięstwo w Opolu w 1985 roku. Nie było to takie oczywiste, bo zaśpiewał pan trudną piosenkę Krzesimira Dębskiego z tekstem Jacka Cygana - „Przyszli o zmroku”.

Organizatorzy uprzedzali, że ma być lekko, łatwo i przyjemnie, a ja wybrałem jazzową kompozycję z zaangażowanym społecznie tekstem. Obawiałem się, że mogę zostać wygwizdany - tymczasem okazało się, że dzięki jury wygrałem „Debiuty”. Ciepło przyjęła tę poważną piosenkę również opolska publiczność. A było to na cztery lata przed tym, jak ogłoszono w Polsce koniec komunizmu. Okazało się jednak, że jeżeli nikomu nieznanemu człowiek zaśpiewa z całego serca i na pełnym gazie, to widownia jest w stanie to odebrać i nagrodzić biesem. Tak też się stało i dostałem lekcję, że nie ma co chodzić na głupie skróty, podlizywać się i robić coś pod publiczność, tylko trzeba tworzyć swoje rzeczy, bo znajdują się ludzie, którzy za tym pójdą i to docenią. I za to bardzo dziękuję polskiej publiczności.



FOT. PAWEŁ TRZĘŚNIEWSKI

Mietek Szcześniak: Myślę, że zmiana świata zaczyna się od zmiany samego siebie i zmiany tych, których kochamy

Potem występował pan w Opolu, Sopocie i nawet w Zielonej Górze. A z drugiej strony śpiewał pan też na Jazz Jamboree. Gdzie czuł się pan na właściwym miejscu?

Ja w ogóle nie przepadam za konkursowymi festiwalami. Bo to jest nie wiadomo co: zbiorowisko ludzi, którzy nie wiedzą, na co przychodzą, a do tego każdy ma swój gust, z którym się nie dyskutuje. Najbardziej lubię spotkania z publicznością, która wie, na co przychodzi i dla której mogę zrobić opowieść o tym, jak widzę świat i jak mogę sobie i innym pomóc, bo to jest możliwe dzięki muzyce. Najbardziej prestiżowy był dla mnie występ na Jazz Jamboree w rok po debiucie. Ot, nikomu nieznanymi młodzian zaśpiewał na jednej z najważniejszych scen w całej Europie. Na ten festiwal przyjeżdżała bowiem świetna i świadoma publiczność. W 1986 roku wystąpiłem na Jazz Jamboree dwukrotnie – z grupą Walk Away oraz ze Sławomirem Kulpowiczem w międzynarodowym składzie na czele z Alice Coltrane. To było dla mnie wielkie wydarzenie. Zacząłem wtedy nazywać

siebie śpiewakiem, bo to dla mnie najlepsze określenie. Śpiewałem bowiem na festiwalach popowych, jazzowych, religijnych, poetyckich i muzyki współczesnej.

W powszechną świadomość Polaków wbił się pan duetem z Edytą Górniak w „Dumce na dwa serca”. Jacek Cygan powiedział kiedyś o tej piosence: „Edyta z Mietkiem wnieśli się tu na wyżyny sztuki wokalne”. Zgodzi się pan?

Nie wiem. Może mogliśmy to lepiej zaśpiewać? (śmiech) Ten duet to zasługa wytwórni EMI, dla której wtedy oboje nagrywaliśmy, bo to ona wybrała akurat nas do tej piosenki. A my oboje chętnie podeszliśmy do tego zadania. Kocham różne gatunki muzyczne i staram się wiernie odtwarzać to, co jest dla nich charakterystyczne. Lubię również słowiańszczyznę. Nie wiedziałem jednak, że ta piosenka będzie miała taki oddźwięk. Powstaje przecież wiele utworów, o których ludzie nawet nie mają pojęcia, bo nie ma ich w publikatorach. Gdyby taką „Dumkę” nagrać na którąś z naszych płyt, a nie byłaby wizytówką filmu

„Ogniem i mieczem”, to raczej nie zaistniałaby w wielu radiach, szczególnie tych komercyjnych. Tymczasem okazało się, że trącenie tej słowiańskiej struny sprawiło, iż ludzie pokochali ten utwór aż tak, że ponoć był najdłużej na wszystkich listach przebojów w Polsce.

Podobno nagrywaliście tę piosenkę z Edytą osobno. To prawda?

Nie. Nagrywaliśmy razem. Poprawki tylko były nanoszone osobno.

W 1999 roku reprezentował pan Polskę na Eurowizji z utworem „Przytul mnie mocno”. Po latach wyznał pan: „Pojechałem tam z czymś, co mnie nie odzwierciedlało”. Jak to się stało?

Najpierw powstała piosenka, a potem został do niej wybrany wokalista. Tak zdecydowała wtedy telewizja. Eurowizja nigdy nie była moim ulubionym festiwalem, bo nie lubię konkursów. Artyści to nie sportowcy, a z gustami się nie dyskutuje. Każdy powinien hołdować takiej muzyce, jaka mu się podoba, a drugi powinien to szanować. Wcześniej wygra-

łem cztery duże europejskie festiwale, ale nie było tam półkamery i nikt tego nie pokazał. Na Eurowizji było za to mnóstwo kamer – a ja akurat zajmuję niespektakularne miejsce. (śmiech)

Nie odpowiadała panu ta piosenka?

Piosenka jest fajna, w stylu Seweryna Krajewskiego. Ale nie na takie czasy i nie na Eurowizję. Tam inne rzeczy są w cenie. Zresztą wszyscy wiedzą, że to manipulowany konkurs. Nie mówię tu o sobie. Ciągłe nie wierzę, że Alicja Szemplińska dostała od widzów tylko siedemnaście punktów. (śmiech)

W międzyczasie mocno zaangażował się pan w tworzenie sceny muzyki chrześcijańskiej w Polsce, występując z zespołami New Life M, Deus Meus i TGD. Śpiewanie gospel było ważne w pana karierze?

Bardzo ważne. Choć okazało się, że w Polsce płaci się za to niespodziewanie wysoką cenę.

Czyli?

Czyli odrzucenie. Mieszkiałem wtedy w Krakowie przy Placu Wolnica i nagle okazało się, że media i wydawcy, którzy bądź co bądź są polską inteligencją, zareagowali odrzuceniem mnie za przekroczenie tego, co jest od nas większe. Moje nagrania są rodzajem dziennika, który jest upubliczniony. Są wyrazem moich fascynacji i zainteresowań. A ponieważ najbardziej sobie cenię wolność w każdej dziedzinie życia, to zawsze robiłem to, co chciałem. Nie lubię, kiedy ogranicza się jednostkę, która nie chce być ograniczana. Tym bardziej, kiedy ma zdolność wykreowania czegoś, co jest charakterystyczne. Na tym przecież polega działanie artystyczne. Miałem więc szczęście robić to, co chcę, ale było to jakoś dziwnie oceniane.

Czyli ta silna obecność na scenie muzyki chrześcijańskiej zaszkodziła pana karierze w muzycznym mainstreamie?

Oczywiście. Nawet bardzo. Do dziś płacę za to cenę. Wydawcy nie chcieli mnie wydać, a radia nie chciały mnie grać z tego powodu, że niby zajmuję się działalnością religijną. A ja nie to miałem na myśli. Dla mnie człowiek składa się z ciała i duszy, dlatego trzeba opowiadać o obu tych sferach. I tak się starałem. Muzyka była ciałem, a słowa były duszą.

Kiedyś powiedział pan: „Bóg sprawia, że jestem lepszym artystą”. Jak to działa?

Jeżeli szukasz czegoś, co jest od ciebie większe w sensie dobra, piękna i prawdy, to poszerzasz swoją świadomość i staryś się być lepszy niż jesteś. Ma to bezpośredni wpływ na to, co robisz. Skoro zmiana świata ma zaczynać się od zmiany siebie,

być może to jest właśnie najlepsza droga. Zwracając się ku Bogu, rozwijasz zarówno ciało, jak i duszę, pasiesz całego człowieka. To nie jest nic odkrywczego. Robiło to wielu artystów przede mną. Cała historia muzyki, literatury, architektury, malarstwa, rzeźby jest pełna twórców, którzy inspirowali się duchowymi rzeczami. Albo którzy mieli za to zapłacone. (śmiech)

W jednym z wywiadów wyznał pan: „Chciałem niegdyś wycofać się z zawodu. Uznałem, że będę zarabiał na życie w inny sposób”. Z czego to wynikało?

Z tego, że przez całe swoje życie mam problemy z wydaniem każdej płyty. Trzeba więc mieć końskie zdrowie, by się uprzeć i ciągnąć to ponad czterdzieści lat. W pewnym momencie musiałem sobie odpowiedzieć na pytanie, czy właśnie po to zostałem wymyślony. Wydawcy i radiowcy są zblazowaną publicznością, mają za dużo muzyki i własne gusta. Tymczasem artyści tworzą dla ludzi, którzy naprawdę tego potrzebują. Publikatory jednak tego nie wiedzą, bo tego nie badają. Dlatego jest wielu wspaniałych wykonawców, którzy borykają się z takimi samymi problemami jak ja.

Ponoć to Irena Santor odwiedziła pana od zamiaru porzucenia zawodu. Jak to się stało?

Powiedziała, że sobie nie życzy, abym zrezygnował ze śpiewania, bo na moje miejsce wyrosnie dziesięć chwastów. (śmiech) Dodała przy tym coś, co mnie najbardziej przekonało: że kiedyś na czele każdej redakcji muzycznej stali ludzie, którzy byli muzykami, a dziś przeważnie są to biznesmeni, którzy traktują ją jak prywatny folwark. Kierują się własnym widzimisię, zamiast dawać możliwość wyboru publiczności. „Są wśród nich ludzie, którzy nie mają pojęcia, co pan robi. Nie mają nawet narzędzi, by ocenić to, jak pan śpiewa. Ich to nie interesuje i nie mają takiej wiedzy” – powiedziała mi. Pomyślałem wtedy: „Czy zostałem do tego wymyślony i to jest moje zadanie?”. Bo przecież każdy z ludzi ma zadanie życiowe i powinien to odkryć. I po namyśle stwierdziłem: „Tak. To jest moje zadanie. I żeby skały sikały, będę to robił bez względu na powodzenie, popularność i ilość pieniędzy na koncie”.

Nigdy nie myślał pan, żeby nagiąć się do wymagań i trendów rynku, żeby lepiej się panu powodziło?

Patrząc na gusta publikatorów, to nie bardzo. (śmiech)

Dzisiaj tyle samo radości co muzyka daje panu sadownictwo. Jak pan odkrył tę pasję?

To właściwie nie sadownictwo, a dendrologia. Drzewa są bowiem dla mnie niezwykłym

wykwitem przyrody. To dla mnie metafora tego związku między ciałem a duszą. Bo jeśli zasiejesz małe ziarno, a po 25 latach wyrosnie ci według własnego widzimisię wielki „potwór”, to czujesz się do niego przywiązany, jest dla ciebie jak twoje dziecko. U mnie z pustego pola powstał ogród pełen drzew, który wygląda jakby taki był zawsze. Kiedyś powiedziałem do przyjaciół, zapraszając ich na urodziny: „Nie przywoźcie drogich i niedrogich pierdół, tylko sadzonki drzew. Posadźmy je i będziemy mieli wieczną pamiatkę”. I tak się też stało.

Co daje panu takie bliskie obcowanie z naturą?

To samo, co obcowanie z afroamerykańskim chórem, kiedy razem ćwiczymy, nagrywamy czy dajemy koncert w Los Angeles. Albo kiedy idziemy razem poucztować i zjeść coś w knajpie o barwnej nazwie „Dirty South”. To dla mnie wielki przywilej i przygoda. Tak samo jest z moim ogrodem. Te drzewa i krzewy, którymi opiekuję się już 25 lat, są dla mnie jak rodzina. Kiedy gdzieś wyjeżdżam, to za nimi tęsknię. A gdy wracam, gadam z nimi i ustaliam różne rzeczy. (śmiech)

Kiedy w zeszłym roku pojawił się pan w Opolu, aby odsłonić swą gwiazdę w Alei Gwiazd, wszyscy byli zachwyceni, że tak świetnie pan wygląda. To zasługa pracy w sadzie?

Bezwzględnie. Udało mi się zbić wagę, bo niegdyś trochę się zapuściłem. Jestem dwudziestoletnim cukrzykiem i zrobiłem to więc przede wszystkim dla zdrowia. Ale widzę, że przełożyło się to na inspirację dla innych.

Nie założył pan rodziny. Nie czuje się pan czasem samotny na tej swej posiadłości?

Nie. Moi roślinni towarzysze są dla mnie tak samo ważni, jak towarzysze ludzcy i zwierzęcy. Ktoś, kto ma sad czy ogród, wie, o co chodzi. Jestem człowiekiem, który nie czuje różnicy między różnymi przejawami życia, między człowiekiem a zwierzęciem czy rośliną. Nie trzeba przecież zawsze rozmawiać słowami. Wystarczy spojrzeć sobie w oczy. A ja wierzę, że drzewa też mają oczy.

Kiedyś zadeklarował pan: „Dopóki oddycham, będę śpiewać”. Zamierza pan dotrzymać tej obietnicy?

Oczywiście. Na pewno będę zawsze śpiewał dla siebie. Bo jak będzie marnie, to nie będę tego upubliczniał. (śmiech) Ale tak na serio: śpiew to moja życiowa pasja, coś jak oddychanie. Kocham to – i pewnie będę to robił, podobnie jak uprawiał ogród i malował obrazy, dopóki pozwoli mi na to ciało, czyli na moja marna skorupka.

AI naprawdę jest inteligentna?

Tak naprawdę to nie. Rzeczywiście jest to narzędzie, które całym swoim działaniem i zachowaniem wykazuje pozory czy też przejawy działania inteligentnego. Ale faktycznie są to jednak algorytmy. I nawet jeżeli mamy do czynienia z dużym modelem językowym, takim jak ChatGPT, to nie jest mądrość. To jest umiejętność żonglowania fragmentami wiedzy. Najpierw były to same słowa albo fragmenty zdań. W tej chwili w podobny sposób montuje się także obrazy czy inne formy przekazu. Ale to nadal jest pewnego rodzaju mechanizm, automat losujący oparty na maszynowo ustalanych prawdopodobieństwach.

W swojej książce „Sztuczna inteligencja. Od Turinga po ChatGPT” pisze Pan, że człowiek od starożytności człowiek marzył o maszynie, która by za niego myślała. Dlaczego?

Myszę, że to jest naturalne. Rozwój cywilizacji przebiegał przecież w taki sposób, że rozmaite rzeczy, które wcześniej musieliśmy robić sami, staraliśmy się przekazywać urządzeniom. Zamiast rzucać włócznią, zbudowano kataraktę. Zamiast wykonywać jakąś czynność własnymi rękami, człowiek próbował wymyślić narzędzie, które zrobi to za niego. To naturalna kolej rzeczy. Skoro więc wiele czynności, które wykonujemy, próbowaliśmy przekazać maszynom, to także czynność myślenia prowokowała do tego, byśmy spróbowali oddać ją w czyjeś ręce – jeśli oczywiście można mówić o rękach w przypadku sztucznej inteligencji. Chodziło o to, by część wysiłku zdjąć z siebie i przekazać czemuś innemu – komputerowi.

Czego w takim razie uczy nas historia Szachowego Turka, którą przytacza Pan w swojej książce? Dlaczego tak łatwo dajemy oczarować się iluzji?

Jest cały szereg informacji na temat tego oszustwa, które polegało na sprawieniu wrażenia, że maszyna jest w stanie rywalizować z człowiekiem w szachy, czyli w czymś, co niewątpliwie wymaga intelektu. To był numer popisowy Wolfganga von Kempelena, który chciał się przypodobać na dworze cesarskim. Nie chodziło wyłącznie o abstrakcyjne zainteresowanie techniką czy myśleniem maszynowym. Chodziło o to, by wzmocnić jego pozycję jako konstruktora, jako twórcy. On zresztą konstruował również inne, i to bardzo pozytywne rzeczy. Szachowy Turek był taką pokazówką: „Proszę, zobaczcie,

jaką niezwykłą rzecz wymyśliłem, a teraz martwicie się, jak zrozumieć, co ta maszyna robi”. Oczywiście, jak wiemy, w środku był ukryty szachista, który rozgrywał partię.

Czy z Chatem GPT nie jest trochę tak jak z Szachowym Turkiem? Widzimy efekt: maszyna z nami rozmawia, co dla nas robi, ale tak naprawdę nie rozumiemy, co tam w środku się dzieje.

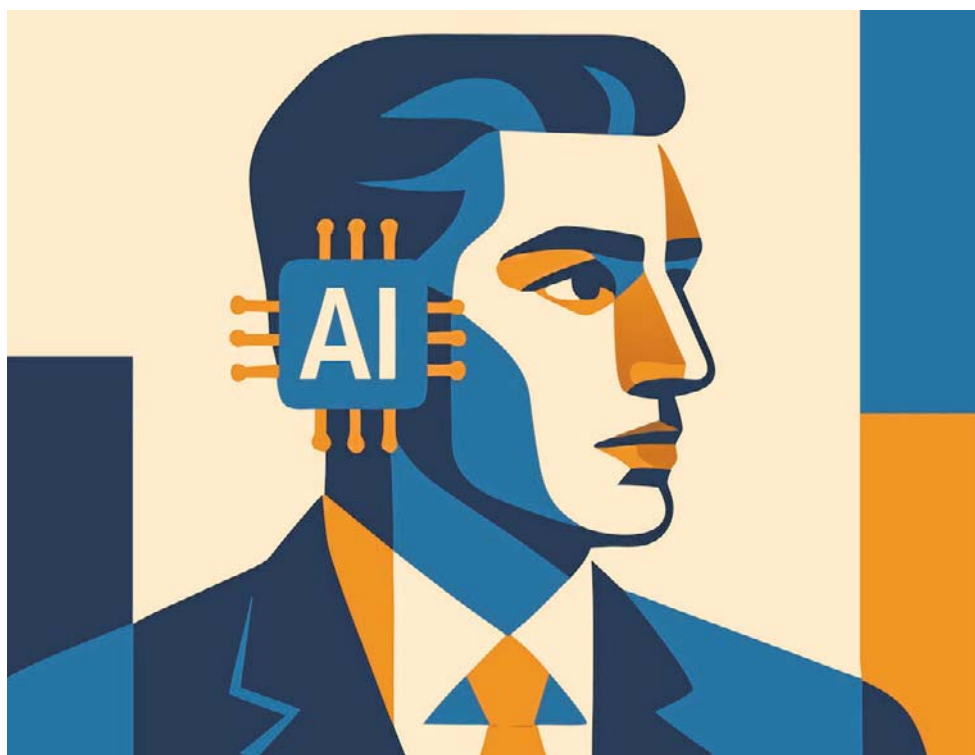
Tak, rzeczywiście duży model językowy, na którym oparty jest ChatGPT i inne metody generatywne, to element bardzo pogłębionej, przez głębokie uczenie, zabawy z prawdopodobieństwem. De facto na podstawie danych tworzy się rozkłady prawdopodobieństwa. Robią to sieci neuronowe, a potem na podstawie tych prawdopodobieństw żongluje się gotowymi elementami. To są przecież wszystko zapożyczenia z danych, które były podstawą procesu uczenia. Żadnych własnych „przemysłań” komputera. Nie ma semantyki, jest probabilistyka. Ale na tej podstawie tworzy się coś, co ma pozory inteligentnej odpowiedzi. Ale ci, którzy korzystali z takich narzędzi, wiedzą, jak łatwą tę wypowiedź przekształcić przez zadanie innego pytania. W związku z tym ChatGPT to nie jest wyrocznia delficka, której zadawano pytanie i otrzymywano jedną odpowiedź. Tutaj można zadać to samo pytanie wielokrotnie i dostać wiele różnych odpowiedzi. A to w procesie podejmowania decyzji niekoniecznie musi pomagać.

Co więc musi się wydarzyć, żebyśmy uznali maszynę za inteligentną? Kiedyś myślano, że wystarczy rozmowa. Rozwiązanie zadania matematycznego? Wciąż wraca też pytanie, czy sztuczna inteligencja zdałaby test Turinga, ale też czy ten test naprawdę coś rozstrzyga?

Debata o tym, czy test Turinga coś rozstrzyga, trwa od ponad pół wieku. Alan Turing zaproponował pewien sposób sprawdzenia, przez naśladownictwo myślącego człowieka, czy maszyna rzeczywiście myśli. Zaproponował coś, co istotnie można przeprowadzić. Przypomnijmy: arbiter prowadzi dialog na dowolny temat z nieznanym rozmówcą. Jeśli po krótkiej rozmowie (około kwadransu) arbiter stwierdzi, że rozmawiał z myślącym człowiekiem, a w istocie odpowiedzi udzielał komputer, to trzeba przyznać, że maszyna wygrała test. I rzeczywiście, były systemy, które mniej więcej pół wieku

– Boję się ludzi, którzy użyją sztucznej inteligencji do tego, żeby sterować innymi ludźmi. Pytając o cokolwiek sztuczną inteligencję, odsłaniamy własne lęki, potrzeby, zainteresowania i sposób myślenia. To jest intelektualne obnażanie się – mówi prof. Ryszard Tadeusiewicz i ostrzega, że z takich danych można zbudować bardzo dokładny portret człowieka

Anita Czupryn



Prof. Tadeusiewicz: Sztuczna inteligencja potrafi sprawiać pozory inteligencji tak skutecznie, że człowiek zaczyna jej wierzyć bardziej niż powinien

PROF. RYSZARD TADEUSIEWICZ: NIE BOJĘ SIĘ BUNTU MASZYN

po sformułowaniu tej koncepcji wygrały test Turinga. To znaczy zdołały tak skutecznie oszukać jurorów, że byli oni przekonani, iż rozmawiają z mądrym, inteligentnym, bystrym człowiekiem. A to był komputer. W tym sensie element rozstrzygnięcia przez mądrą rozmowę został spełniony. Obecnie także ChatGPT w pewnym sensie zdaje test Turinga, bo każdy, kto się do tego narzędzia odwołuje, sądzi, że gdzieś

w komputerze, w czeluściach internetu, znalazło ono dla niego odpowiedź, rozwiązanie problemu, radę czy sugestię. To są jednak rzeczy bardziej fideistyczne. Ludzie bardziej wierzą niż wiedzą. Trzeba powiedzieć jedno: wszystkie te rozwiązania mają w sobie coś z Turka von Kempelena. Bazują na tym, że my chętnie godzimy się przyjąć iluzję, która czasem z rzeczywistością niewiele ma wspólnego.

A dlaczego tak chętnie przystajemy na tę iluzję? Dlatego że, niestety, jedną z cech człowieka jest wygodnictwo. Podejrzewam, że większość osób, z którymi mam na co dzień kontakt, miałyby dziś trudności z wykonaniem prostych działań arytmetycznych z pamięci. Od tego jest przecież kalkulator. Kilka kliknięć i mamy wynik. Przypominam sobie, że kiedy byłem uczniem szkoły średniej i chodziłem

do sklepu, co należało do moich obowiązków, bo matka chorowała, to wkładałem do koszyka różne produkty, odczytywałem ceny i w momencie gdy podchodziłem do kasy, miałem już w pamięci informację, ile zapłacić. Dokładnie to wiedziałem.

Potrąfił Pan to obliczyć w pamięci?

Tak. Natomiast dzisiaj już tego nie robimy. Nawet jeżeli mamy do wykonania proste działanie, każdy sięgnie po kalkulator albo telefon: puk, puk, puk - i ma wynik. To jest jeden z bardzo wielu przykładów tego, jak się uzależniamy. Weźmy inną rzecz. Kiedyś, kiedy potrzebowałem jakiejś szczegółowej informacji, to najpierw się zastanawiałem, czy ja to pamiętam, czy ja to wiem. Jeśli nie wiedziałem, szedłem do półki z książkami, wyjmowałem właściwą książkę, odnajdywałem odpowiednią stronę, czytałem i się dowiadywałem. A dzisiaj co się robi? Wystukuje się hasło w wyszukiwarce internetowej, czy to Google czy inne narzędzie wyszukiwania, i dostaje się odpowiedź. Wygodnictwo, kolejne wygodnictwo. Wobec tego te dziwne elementy sztucznej inteligencji niestety wyzwalają w nas uzależnienie wynikające z naszego lenistwa.

Tylko pytanie, czy sztuczna inteligencja rozumie to, co mówi...

Nie, nie rozumie. Rozumienie oznaczałoby pewną tożsamość, osobowość czy też jestestwo. Natomiast sztuczna inteligencja może jakimiś matematycznymi sposobami zmierzyć stopień trafności odpowiedzi, którą wygenerowała, i wysłała do użytkownika. To oczywiście jest ważne i przydatne. Ale elementu, który potocznie rozumiemy jako rozumienie, tam w ogóle nie ma. Rozumienie zakłada, że istnieje podmiot. A sztuczna inteligencja, we wszystkich swoich przejawach, we wszystkich programach, które istnieją i zapewne będą istniały, nie ma tej osobowości, tej tożsamości, tego poczucia, że jest ona – i cała reszta świata. Ona tego nie postrzega i nie potrzebuje. Ona ma być sprawna, a nie na przykład zachwycać się swoimi osiągnięciami. Komputer może wygrać w różne gry. Najpierw były szachy, wiadomo: Deep Blue pokonał Garry'ego Kasparowa i zapanował wielki entuzjazm, bo komputer pokonał mistrza świata. Potem była gra w go, bardziej zaawansowana, w której jednak mistrz świata, Lee Sedol, został pokonany przez program Deep Mind. I można by tak dalej wyliczać. Okazuje się

nawet, że komputery wyposażone w sztuczną inteligencję potrafią grać w grę oszustwa, czyli w pokera, i potrafią blefować. Oszukiwać też umieją lepiej niż ludzie! Ale do czego zmierzam? Otóż do tego, że te programy, te narzędzia sztucznej inteligencji coś osiągają, nawet pokonują człowieka – ale się nie cieszą. Nie ma w nich entuzjizmu. One po prostu przechodzą w stan spoczynku, zrobiwszy swoje. A „swoje” oznacza w tym przypadku wygranie, pokonanie mistrza świata w takiej czy innej grze.

I co dalej?

Człowiek, gdyby osiągnął coś takiego, odczuwałby szczęście. A sztuczna inteligencja, kiedy coś takiego osiąga, po prostu się wyłącza. Bo swoje zrobiła. Więc co miałyby robić dalej? Nie ma tam elementu emocji, osobowości, dumy, zadowolenia czy smutku. To wszystko jest w tym kontekście całkowicie abstrakcyjne. To są mechanizmy działające skutecznie, ale niekoniecznie podobnie do ludzi.

Choć mówi się, że AI bywa bardzo empatyczna.

Tak, ale ona po prostu została tak zaprogramowana. Ona też empatię udaje. Równie dobrze można by zbudować agresywnego wroga w postaci sztucznej inteligencji, który obrzucałby rozmówcę inwektywami i robiłby to bardzo trafnie.

Tak już się przecież wydarzyło na platformie X, kiedy Chatbot Grok zaczął obrażać użytkowników. Ale chciałam zapytać o coś innego. AI nie rozumie, co mówi, ale też zmyśla, konfabuluje, czy też halucynuje. Na dodatek robi to bardzo przekonująco. Dlaczego?

Dlatego że, mówiąc najkrócej, tak została zbudowana. Rzecz polega na tym, że urządzenia typu ChatGPT i podobne mają ogromny zasób informacji, które pochodzą od ludzi. To przecież z analizy ogromnych zbiorów tekstów, ogromnych zasobów informacyjnych zbudowany jest pewien układ klocków, z takich kawałeczków. Potem działają reguły, same w sobie dość proste, które pozwalają tak poukładać te klocki, żeby wyjść naprzeciw prawdopodobnemu, przewidywanemu, antycypowanemu oczekiwaniu użytkownika, który zwrócił się do sztucznej inteligencji o jakąś odpowiedź, opinię, radę czy sugestię. To wszystko dzieje się według określonych zasad. To działa trochę tak jak prawo grawitacji: jeśli coś upuścimy, polecą w dół. Jeśli wrzucimy temat do systemu sztucznej inteligencji, przejdzie on

przez poszczególne etapy: przejrzy zasoby wiedzy, zastosuje reguły zestawiania tych klocków wiedzy i uzyska wynik końcowy. Natomiast charakterystyczne jest to, że zadając to samo pytanie dwa razy, może z jakąś drobną korektą, ale nadal pytanie na ten sam temat i prowadzące do tej samej konkluzji, można dostać zupełnie różne odpowiedzi.

To kiedy możemy sztucznej inteligencji ufać, a kiedy powinniśmy natychmiast sprawdzać jej odpowiedzi?

Odpowiedź jest taka, że sprawdzać powinniśmy zawsze. Bardzo wygodne jest to, że mamy takiego komputerowego, informatycznego partnera. Bardzo wygodnie jest zapytać. Natomiast to nie zwalnia nas z myślenia. Jeżeli ktoś bezkrytycznie opiera się na tym, co wyświetliła mu taka czy inna aplikacja sztucznej inteligencji, popełnia poważny błąd. Trzeba oczywiście korzystać z tej możliwości, trzeba ją ewentualnie rozważyć, ale nie wolno czuć się zwołanym z myślenia. To szczególnie dotyczy sytuacji, w których odpowiedź przekłada się na działania praktyczne. Zajmuję się inżynierią biomedyczną i podczas spotkań z lekarzami zawsze podkreślałam, że oczywiście istnieją różne systemy doradcze, różne systemy informacyjne, także te oparte na sztucznej inteligencji, i należy z nich korzystać. Natomiast kiedy już dostanie się wynik, nie trzeba go natychmiast używać. Trzeba się nad nim naprawdę bardzo dokładnie zastanowić.

To, Panie profesorze, czego Pan nigdy nie wpisuje do narzędzi AI?

Mówiąc szczerze, bardzo rzadko z nich korzystam. Jeśli już, to raczej z ciekawości, badawczej ciekawości. Natomiast jeżeli nęka mnie jakiś problem, naukowy albo nawet prywatny, osobisty, to nie sięgam po sztuczną inteligencję. Mając świadomość ograniczeń mojej własnej inteligencji, wołam jednak posłużyć się tym, co sam wymyślę, nawet jeżeli popełnię błąd, niż zdawać się na maszynę, która całkowicie beznamiętnie może mnie wepchnąć w poważne kłopoty.

Moje pytanie dotyczyło też tego, czego nie powinniśmy wpisywać, kiedy oczekujemy pomocy od narzędzi AI. Mówi się na przykład o danych wrażliwych. Jakie jest Pana stanowisko?

Oj tak, kwestia danych wrażliwych jest tutaj bardzo ważna. I w ogóle kwestia tego, co się wpisuje. Problem polega na tym, że w interne-

cie nic nie ginie. Człowiek, który wielokrotnie odwołuje się do sztucznej inteligencji i zadaje jej pytania, bardzo się przez te pytania obnaża. Wiedząc, o co pyta, czego się dopomina, do czego dąży, można stworzyć jego bardzo dokładny obraz. I mogą się znaleźć ludzie, a także instytucje, które z tego skorzystają. Zresztą już korzystają. Informacje na temat różnego rodzaju preferencji, poczynając od handlowych, a kończąc na politycznych, buduje się między innymi na podstawie tego, o co dany człowiek pytał. Nie trzeba nawet sięgać do sztucznej inteligencji. Wystarczy mieć odpowiednią statystykę tego, czego ktoś szuka w Google. I już powstaje pewnego rodzaju fotografia osobowości. A taka fotografia może posłużyć do osiągania różnych celów, choćby związanych z polityką, wyborami, różnymi rozstrzygnięciami społecznymi. Każdemu można wtedy podsunąć takie argumenty, które do niego przemówią najbardziej. A o tym, które argumenty będą przemawiające, dowiedzą się algorytmy, jeśli wystarczająco dokładnie opracują analitycznie i statystycznie to, o co człowiek pytał, czego szukał, na czym się zatrzymywał, jakie strony go interesowały. To jest takie intelektualne obnażanie się, które w tej chwili ma już charakter powszechny.

Jakie mogą być negatywne skutki tego obnażania się?

Obawiam się, że one już są. Podczas różnego rodzaju wyborów, nawet wyborów prezydenta Stanów Zjednoczonych, można wykorzystywać informacje zgromadzone w szeroko rozumianych systemach internetowych, zaczynając od Google, przez TikToka i inne tego typu narzędzia. Można to zgromadzić w całkiem zgrabny pakiet, a metody automatycznej klasyfikacji i kategoryzacji pozwalają przypisać ludziom określone identyfikatory. Ten jest konserwatywny, tamten ofensywny, a ten z kolei zachowawczy. To jest oddawanie swojej osobowości pod młyn urządzeń, które co prawda nam służą, ale nie za darmo. Jest takie znane powiedzenie: jeśli korzystasz z Google i czegoś tam szukasz, to nie sądz, że jesteś rybą. Jesteś przynętą. Owszem, dostaniesz wartościowe odpowiedzi, ale przy okazji wypowiedziałeś się z tego, kim jesteś.

W szkole powinno się walczyć z ChatGPT czy uczyć uczniów, jak mądrze z niego korzystać? A jeśli mądrze, to jak?

Zdecydowanie ta druga możliwość jest właściwa. Zakazany owoc będzie jeszcze bardziej kuszący, więc metodą zakazów i nakazów niczego się nie wskóra. Stworzy się tylko swego rodzaju podziemie intelektualne, pewien obszar, nad którym nie będziemy panować i którego nie będziemy kontrolować. Natomiast ja moich studentów, a także moje wnuczki, które są w szkole podstawowej, staram się nauczyć jednego: owszem, korzystaj, ale myśl. To, co wyjdzie ci na ekraniku, najczęściej w telefonie, jest czymś, co warto wziąć pod uwagę. Ale tylko wziąć pod uwagę. Kiedy chodzimy, też mamy szeroko otwarte oczy, chociaż czasem ulegamy złudzeniom optycznym albo widzimy coś nie tak, jak to wygląda naprawdę. Wystarczy, że jadąc samochodem, mam światło z przeciwnika i mogę czegoś nie zauważyć. Ale to nie znaczy, że trzeba zamknąć oczy. Nawet wiedząc, że te oczy mogą kłamać. To znaczy, że trzeba być krytycznym wobec tego, co dostarczają nam nasze zmysły – ale z nich intensywnie korzystać. Tak samo trzeba być krytycznym wobec tego, co serwuje nam sztuczna inteligencja, a także różne serwisy społecznościowe i narzędzia informatyczne. To jest pewien system. Tylko cała rzecz polega na tym, żeby te narzędzia były w naszych rękach, a nie my w ich rękach. To jest kwestia tego, kto tu naprawdę jest początkiem, końcem i elementem decydującym. Zasięg informacji warto. Natomiast sposób jej wykorzystania zależy już od naszej decyzji, naszej mądrości i krytycznego podejścia. Najgorsze jest to, że wszystkie te systemy są bardzo podatne na różnego rodzaju manipulacje. W związku z tym istnieje obawa, że opierając się na tym, co, w cudzysłowie, „powiedział mi komputer” albo „doradził mi komputer”, tak naprawdę mamy do czynienia z tubą, która przynosi czyjeś informacje, czyjeś preferencje, czyjeś wybory. Nie obawiam się więc samej sztucznej inteligencji. Obawiam się ludzi, którzy wykorzystują ją do tego, żeby sterować innymi ludźmi.

Istnieje pogląd, że sztuczna inteligencja cały czas się uczy i dzięki temu, że dostaje mnóstwo nowych informacji, jest coraz lepsza. Dokąd nas to zaprowadzi?

Wie pani, doskonalenie się zawsze jest czymś dobrym. Najbardziej krytyczny moment pojawia się wtedy, kiedy już powstaje nowa jakość, a my jeszcze nie nauczyliśmy się mądrze z niej korzystać. Kiedy powstawały

pierwsze samochody, było bardzo dużo wypadków. Głównie dlatego, że mieliśmy już możliwość szybkiego i sprawnego przemieszczania się, ale jeszcze nie mieliśmy wyrobionych nawyków, które gwarantowałyby, że możemy to robić bezpiecznie. Z AI jest podobnie. Już mamy coś nowego, ale jeszcze nie do końca wiemy, jak tego używać, czego się wystrzeżać i czemu przeciwdziałać. Jestem jednak generalnie zdania, że to zmierza ku dobremu. Tylko to dobro nie polega wyłącznie na tym, żeby algorytmy były coraz lepsze. Chodzi także o to, żeby ludzie mieli coraz bardziej racjonalny i niebezkrytyczny stosunek do tego, co wyskakuje im z różnych aplikacji GPT, GPS czy jakichkolwiek innych.

Co Pan myśli o polskiej sztucznej inteligencji, czyli o Bieliku?

Oczywiście zapoznałem się z tym rozwiązaniem. Wydaje się, że jest profesjonalne i dobre. Zrobili je ludzie, którzy znają się na rzeczy, i jestem pełen uznania oraz szacunku dla tych, którzy za nim stoją. To są naprawdę mądrzy i dobrzy profesjonalści. Natomiast wiedza i mądrość nie mają narodowości. Trzeba korzystać z tego, co nasze własne uwarunkowania gospodarcze, polityczne czy nawet psychologiczne determinują, ale nie można się w tym zamykać. Świat jest dzisiaj otwarty. W każdej chwili mogę nawiązać kontakt z moimi uczniami, którzy pracują akurat w Australii i tam robią kariery. Świat jest mały. Przynajmniej w sensie intelektualnym przemierzanie go jest dziś bardzo łatwe. To, że coś powstaje w Polsce i jest robione pod kątem potrzeb oraz uwarunkowań polskich użytkowników, również emocjonalnych, jest bardzo pozytywne. Szkoda byłoby, gdyby wszystko dyktowali nam Amerykanie albo ktokolwiek inny. Ale z drugiej strony nie przeceniałbym tego. Mądrość jest jedna. Nie ma narodowości, ma tylko legitymację inteligencji.

Na koniec zapytam o największe zagrożenie związane z AI. Boimy się buntu maszyn. A co, Pana zdaniem, jest największym zagrożeniem sztucznej inteligencji?

To, że dostanie się w ręce ludzi, którzy wykorzystają ją przeciwko innym ludziom. Absolutnie nie wierzę w żadne bunty maszyn ani w zagrożenie polegające na tym, że sztuczna inteligencja wreszcie dojdzie do wniosku, że te biologiczne twory, które wędrują po świecie, są jej tak na-

prawdę niepotrzebne, bo ona jest mądrzejsza. Że te prototypy czy wzorce białkowe można by w ogóle zniszczyć. Bo po co człowiek, skoro tak wspinała jest sztuczna inteligencja? Tego się nie boję. To jest wizja, którą na swój użytek mogą budować twórcy science fiction i filmów grozy. Można się bać dinozaurów, jak w „Jurassic Park”. Można się bać rekina. Można się bać sztucznej inteligencji. Ale to są rzeczy wymyślone. Natomiast uważam, że niebezpieczne jest coś innego: tego narzędzia można użyć zarówno dla dobra ludzi, społeczności czy jakiejś dziedziny, jak i przeciwko nim. Jak mówiłem, zajmuję się inżynierią biomedyczną, więc próbuję zaprzęgać sztuczną inteligencję do procesów związanych z tym, żeby skuteczniej chronić zdrowie ludzi i skuteczniej usuwać skutki różnych chorób. To jest cel pozytywny. Ale niestety faktem, a nie przypuszczeniem jest to, że są ludzie, którzy będą chcieli wykorzystać AI do celów niekoniecznie pozytywnych, a nawet bardzo złych. Daleko nie trzeba szukać. Weźmy wojnę. Na wojnie sztuczna inteligencja może zwiększyć skuteczność działania. Ale zwiększenie skuteczności oznacza wymordowanie większej liczby przeciwników. Tego właśnie się boję: sztucznej inteligencji bardzo profesjonalnie i skutecznie stosowanej przez ludzi, którzy wobec innych ludzi mają złą, a nawet zbrodnicze zamiary. To nie jest abstrakcja. Może być tak, że ci, którzy dążą do różnego rodzaju siłowych rozwiązań, dzięki sztucznej inteligencji albo posługując się sztuczną inteligencją, będą osiągać swoje cele skuteczniej. A ta większa skuteczność oznacza tylko jedno: przeciwników pokonanych przy użyciu sztucznej inteligencji jak to-pora będzie po prostu więcej. Żli ludzie, kierując się złymi intencjami, mogą dobrą sztuczną inteligencję uczynić zbrodniczą. I oby do tego nie doszło!

KSIAŻKA



Ryszard Tadeusiewicz, „Sztuczna inteligencja. Od Turinga po ChatGPT”, wydawnictwo RM

ALEKSANDRA HARASIUK: NIECH BURSZTYN ZOSTANIE ZACZAROWANY

– Niech bursztyn ma w sobie wszystkie legendy, historie i tajemnice. Chodzi o coś innego: o zbudowanie świadomości, że kupując bursztyn, zwłaszcza bursztyn naturalny, kupujemy kawałek historii. To jest coś, co przez ponad 40 milionów lat było ukryte w ziemi i przechowało dla nas ślad dawnego świata – mówi Aleksandra Harasiuk

Amita Czupryn

Mam takie małe marzenie i myślę, że nie tylko ja: pojechać na urlop nad Bałtyki i znaleźć piękny, wielki bursztyn. Jakie są na to szanse latem?

Jako że z bursztynem wiąże się nauka i wiedza, to trzeba wiedzieć, jakie warunki sprzyjają temu, by znaleźć bursztyn na bałtyckim wybrzeżu, nie tylko w Polsce, ale też na Litwie, Łotwie, w Rosji czy w Skandynawii. Najlepsza jest pogoda sztormowa. Najczęściej to, co znajduje się w morzu w postaci żywicy, czyli bursztynu, wyrzucane jest na brzeg w okresie luty-marzec albo październik-listopad. Wtedy mamy największe zmiany prądów w Bałtyku. Podczas sztormów natura porusza tym, co zalega jeszcze na dnie morza. Latem oczywiście też można bursztyn znaleźć, ale trzeba wiedzieć, gdzie i jak go szukać. Można też skorzystać z pomocy tak zwanych poławiaczy bursztynu i wędrowców śladem. Dzisiaj najbardziej znanym miejscem jest Mierzeja Wiślana. Są tam trzy miejscowości uznawane za centrum połowów bursztynu. Ale żeby znaleźć naprawdę dużą bryłę, to oprócz posiadania wiedzy trzeba się jeszcze urodzić pod szczęśliwą gwiazdą.

Czy bursztyn jest surowcem niewyczerpywalnym? Ile go właściwie jest? Znajduje się tylko w morzu?

Bursztyn, czyli kopalna żywica, występuje w różnych zakątkach świata, ale pochodzi z różnych epok kształtowania się kontynentów i lądolodów. Nasz bursztyn bałtycki związany jest z formowaniem się kontynentu europejskiego i Skandynawii, z tak zwanych wysp Fenno-

skandii. To czasy eocenu. Tak określamy pochodzenie bursztynu bałtyckiego, jako czas w historii geologicznego tworzenia się naszej części świata. Jeśli chodzi o bursztyn bałtycki na terenie Polski, mamy dwa zasadnicze regiony złóż, które Państwowy Instytut Geologiczny pokazuje w bilansie złóż kopalin. Ostatni dostępny bilans, sporządzony na 31 grudnia 2024 roku, wskazuje województwo lubelskie i pomorskie. Lubelskie oceniane jest na 3690 ton (zasoby przemysłowe wynoszą 2059 ton). 11 złóż lubelskich to 3648 ton i położone są na głębokości 20-30 metrów. Pomorskie oceniono na 41 ton na głębokości 60-130 metrów. Obecnie eksploatowane są złoża w województwie lubelskim: Górka Lubartowska, Leszkowice i Niedźwiada III. W ubiegłym roku, zgodnie z raportem, wydobyto ponad 9 ton bursztynu. Każde wydobycie jest zgłaszane do oficjalnych służb, stąd znamy te liczby.

Ile ważyła największa znaleziona bryła bursztynu?

Jeśli mówimy o bursztynie bałtyckim, największa znana bryła waży 9,75 kilograma. Została znaleziona w 1860 roku w Rarwinie koło Kamienia Pomorskiego. Dziś znajduje się w Muzeum für Naturkunde w Berlinie.

A najpiękniejszy artefakt z bursztynu, którym możemy się chwalić w Polsce?

Jeżeli mówimy o kolekcjach bursztynu w Polsce, bardzo ważne jest Muzeum Zamkowe w Malborku. Tam znajdują się jedne z najcenniejszych obiektów bursztynowych w Polsce. Muzeum Bursztynu w Gdań-

sku to #mustvisit. Ale tuż za granicą Polski, w Ribnitz-Damgarten, znajduje się Deutsches Bernsteinmuseum, czyli Niemieckie Muzeum Bursztynu. Są tam niezwykle cenne rzeczy z bursztynu związane z dawnym, przedwojennym Gdańskiem, który był wtedy miastem silnie związanym z kulturą niemieckojęzyczną. Oni mają obiekty, których my prawdopodobnie nigdy już w Polsce nie będziemy mieli.

Dlaczego bursztyn bałtycki jest tak wyjątkowy na tle innych żywic kopalnych świata?

Z jednego powodu: zawiera kwas bursztynowy na poziomie 5-8 procent. Przypisuje mu się właściwości korzystne dla zdrowia człowieka. Z bursztynem wiążą się legendy i wierzenia ludowe, które mają ponad 3000 lat. Kiedy patrzemy na jego właściwości mineralogiczne, nie z perspektywy lekarzy czy farmakologów, ale historii i medycyny tradycyjnej, to widzimy przede wszystkim legendy, przekazy i wierzenia. Mówiono, że bursztyn i kwas bursztynowy znajdują się na zewnętrznej warstwie bryłki, którą potem noszono jako biżuterię, amulet czy talizman, mają dobry wpływ na człowieka. Ale trzeba jasno powiedzieć: to nie jest wiedza medyczna w ścisłym sensie.

Czy bursztyn może być polskim diamentem?

Bursztyn bałtycki jest naszym skarbem narodowym, dobrem narodowym i dziedzictwem kulturowym. Ale zawsze bardzo mocno podkreślamy, także PR-owo, że nie ma czegoś takiego jak „bursztyn polski”. Jest bursztyn bałtycki, który wystę-

puje na wspomnianych terenach. Dla nas jest dobrem i dziedzictwem kulturowym, ponieważ od ponad 3000 lat na ziemiach, które dziś znajdują się na mapie Polski, był przetwarzany i używany jako amulet, talizman, przedmiot dekoracyjny czy element kultury. Pod Nowym Dworem Gdańskim znalezione figurki z bursztynu, które miały ponad 3000 lat. Od setek lat eksportowaliśmy wyroby z bursztynu jako przedmioty rzemiosła i podarunki dyplomatyczne. Jedną z badaczek napisała na KUL-u wspaniałą pracę doktorską o tym, jak od XVII wieku z naszych terenów trafiały w świat bursztynowe szkatuły, kufle, różańce i inne przedmioty jako podarunki dyplomatyczne. Różańce upowszechniali między innymi Krzyżacy z Malborka, którzy monopolizowali wydobycie i handel bursztynem od X wieku. Na ziemiach polskich przez wieki zajmowano się przetwórstwem tego surowca. Mamy na to dowody, mamy wspaniałe okazy w wielu muzeach w Polsce. Dlatego uważam, że powinniśmy mówić o bursztynie jako o naszym dobru narodowym i zapleczu kulturowym. To fascynujące dziedzictwo, które wreszcie warto podnieść do takiej rangi, jak twórczość Chopina czy dorożka Marii Skłodowskiej-Curie.

Diament mierzy się w karatach. A czym mierzy się bursztyn? Wagą, pięknem, kolorem, historią, pochodzeniem?

To dziś jedna z najważniejszych kwestii, którymi zajmuje się Międzynarodowe Stowarzyszenie Bursztynników z siedzibą w Gdańsku. Bursztyn jako żywica od lat był modyfi-

kowany. Jeśli chodzi o skład chemiczny, w 60-80 procentach składa się z węgla, potem z tlenu i wodoru, a także niewielkiej ilości siarki. Po wrzuceniu do ognia płonie, stąd niemiecka nazwa Bernstein. Jest jednak kruchy: w skali Mohsa jego twardość wynosi około 2-2,5. Dlatego nie przetrwał tak jak diament, najtwardszy minerał świata, który ma twardość 10. Po diamencie można przejechać czołgiem i nic mu się nie stanie. Bursztyn łatwo się kruszy, stąd tak mało przetrwało zabytków i artefaktów wykonanych z bursztynu.

O co więc dziś toczy się walka na rynku bursztynu?

O uporządkowanie zasad oceny. Diament ma swoje 4C, czyli kryteria wartości. To bardzo ważne, bo pozwala ograniczać chaos na rynku kamieni jubilerskich. W przypadku bursztynu czegoś takiego nie mamy. W 1996 roku, czyli ponad 30 lat temu, powstało Międzynarodowe Stowarzyszenie Bursztynników. Jedną z jego założycielek była profesor Barbara Kosmowska-Ceranowicz, która od lat 70. zajmowała się bursztynem bałtyckim. W stowarzyszeniu spotkali się naukowcy z różnych dziedzin: chemicy, fizycy, paleontolodzy, historycy sztuki. Musieli wspólnie zastanowić się, jak klasyfikować kamienie jubilerskie z bursztynu. Taka klasyfikacja powstała i wiele osób na świecie – jak muzealnicy, kolekcjonerzy czy gemmologodzy – ją stosują. Ale nie możemy jej nikomu narzucić, bo Międzynarodowe Stowarzyszenie Bursztynników jest organizacją pozarządową. To nie jest prawo obowiązujące cały świat. Dziś ta klasyfikacja obejmuje cztery podstawowe kategorie. Pierwsza to bursztyn naturalny. Niewygrzewany, niepoddany żadnej obróbce technologicznej zmieniającej barwę czy właściwości. Może być wypolerowany, może zostać użyty do naszyjnika albo koralu, ale nie został technologicznie zmodyfikowany przez człowieka. I to jest najcenniejszy okaz. Druga kategoria to bursztyn modyfikowany, czyli kamień, którego wygląd, tekstura bądź trwałość zostały zmienione w wyniku ingerencji człowieka, np. przez obróbkę termiczną. Może wówczas zmieniać kolor i barwę. Sprzedawane są bursztyny barwione na czerwono czy jaskrawozielono, ale to nie są barwy naturalne. Trzecia forma to bursztyn rekonstruowany (prasowany). Jest poddawany nie tylko obróbce termicznej, ale też łączeniu kilku naturalnych bryłek pod wpływem podwyższonej temperatury i ciśnienia, tak aby powstał materiał, który można pociąć i wykorzystać w biżuterii. Czwarta kategoria to bursztyn łączony, tak zwany duplet/tryplet, gdzie kilka rodzajów mate-

riału może zostać zestawionych w jednej bryłce czy w jednym wyrobie. Jest też międzynarodowa organizacja, która w publikacjach dla kamieni jubilerskich traktuje bursztyn bałtycki jako część organicznych materiałów gemmologicznych, podobnie jak koral czy jadeit. I tam pojawia się bardzo ważne ostrzeżenie: jeżeli bursztyn został zmodyfikowany, nie można opisywać go jako naturalnego. Problem polega na tym, że nie wszyscy się do tego stosują. W laboratoriach gemmologicznych u naszych sąsiadów, na Łotwie czy w Rosji, często pisze się, że bursztyn jest naturalny, a dopiero obok dodaje słowo „modyfikowany”, tak aby uzyskać wyższą cenę. To, co robią nieuczciwi producenci, przemysłowcy i handlarze, to już osobna historia. A właściwie cała epopeja.

Jak często bursztyn się podrabia? I co może zrobić przeciętny człowiek, żeby nie dać się oszukać?

Po pierwsze, niestety, każdy może zostać oszukany. Dlaczego? Bo imitacje bursztynu bywają czasami nie do odróżnienia gołym okiem. Druga sprawa jest taka, że tych imitacji jest bardzo dużo. Od XIX wieku robiono różnego rodzaju materiały, które miały udawać bursztyn. Jednym z najbardziej znanych jest bakelit. To nic innego jak tworzywo sztuczne. Wszedł do masowej produkcji wtedy, kiedy przycięto uzyskać materiał w kolorze bursztynu, który będzie podobnie wyglądał. Produkowano go między innymi w Niemczech i Stanach Zjednoczonych. W XX wieku było bardzo dużo takich podmian. W biżuterii vintage można znaleźć mnóstwo przykładow. Bursztynicy zawsze się ekscytują, kiedy w filmie czy serialu pojawia się duża zawieszka przypominająca bursztyn. Tak było choćby przy jednej z nowszych produkcji związanych z „Seksem w wielkim mieście”. Jedną z aktorek miała dużą zawieszkę i wszyscy uznali, że to bursztyn. Tymczasem był to bakelit. Podobnie Iris Apfel miała wiele dużych naszyjników. Nosiła bursztyn, faktycznie go lubiła i miksowała z innymi rzeczami, ale część jej biżuterii była również bakelitowa.

Jak najprościej sprawdzić, czy coś jest prawdziwym bursztynem?

Najuczciwsza odpowiedź brzmi: sprzedawca nie jest w stanie dać państwu stuprocentowego potwierdzenia. Od tego są rzeczoznawcy i laboratoria. W Polsce takim miejscem jest laboratorium bursztynu Międzynarodowego Stowarzyszenia Bursztynników w Gdańsku, nadzorowane przez naukowców. To bardzo ważne, bo istnieją też laborato-



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Aleksandra Harasiuk, była dyrektorka Międzynarodowego Stowarzyszenia Bursztywników, konsultantka biznesowa

ria, które nie są prowadzone w taki sposób, a badania wykonują samozwańcy rzeczoznawcy, którzy mogą potwierdzić właściwie wszystko. Każdy może więc wysłać wyrób albo pojechać do Gdańska i sprawdzić, czy ma do czynienia z bursztynem naturalnym, bursztynem modyfikowanym czy imitacją. Oczywiście można też wiele wyczytać z koloru i wyglądu. Stowarzyszenie Bursztywników opublikowało na ten temat sporo artykułów: o tym, czy zielony bursztyn jest naturalny, czym jest bursztyn koniakowy z charakterystycznymi pęknięciami w środku, który wielu osobom wydaje się naturalny. Literatura jest bardzo bogata. Mam duży szacunek do sprzedawców, ale to nie są osoby, które powinny być źródłem stuprocentowego potwierdzenia. Od tego są rzeczoznawcy gemmologiczni. Wielu sprzedawców chce doradzić jak najlepiej, ale wiedza na temat bursztynu w różnych miejscach bywa bardzo różna. Czasem niestety wprowadza kupujących w błąd.

Chciałabym zapytać także o ciemną stronę przemysł, nielegalne wydobycie,

cie, szarą strefę. Jak to wygląda?

To nie jest szara strefa. To jest czarna strefa, czyli przestępstwo. Przemysł jest przestępstwem. Nielegalne wydobycie jest przestępstwem. Wprowadzanie na rynek imitacji bursztynu jako prawdziwego bursztynu również jest oszustwem. Zdarza się na przykład, że producent kupuje worek surowca, a ktoś celowo dorzuca do niego imitacje. To także jest przestępstwo. Trzeba spojrzeć na prawo, które obowiązuje w Polsce. Z kwestiami wydobyczymi ma do czynienia między innymi Ministerstwo Klimatu i Środowiska, te przepisy nie regulują jednak wszystkiego w sposób idealny. Jeśli ktoś ma własną działkę i zaczyna tam kopać bursztyn na swój użytek, powinien mieć zgodę odpowiedniego urzędu na prace wydobywcze. Czy wszyscy ludzie w Polsce to robią? Nie wiem. Czy zawsze jest to traktowane jako przestępstwo? To też nie jest takie proste. Przystępstwem było natomiast to, co działo się w szalonych latach 90., w pierwszej fali bardzo agresywnego kapitalizmu. Wtedy wiele grup przestępczych, korzystając

z braku regulacji i chaosu prawnego, rozkopywało lasy, plaże i różnego rodzaju działki bez żadnych pozwoleń. Zostawiano po sobie zniszczone tereny, które stawały się zagrożeniem dla ludzi, zwierząt, roślin i drzew. To były działania przestępcze. Wydaje mi się, choć nie jestem policjantką ani osobą pracującą w służbach, które to śledzą, że w Polsce na taką skalę właściwie już się tego nie robi. Mamy większą świadomość i wiemy, że grożą za to kary. Natomiast do Polski bursztyn nadal się przemyca. Sprawdzałam informacje z bilansu złóż kopalni w Polsce, publikowanego przez Państwowy Instytut Geologiczny. Są tam również dane służb celno-skarbowych. W latach 2015-2023 udaremniiono w Polsce przemysł 18 ton bursztynu.

Stara się Pani o to, aby w Polsce powstał Instytut Bursztynu. Po co nam taki instytut?

Jestem jednoosobową lobbyistką tego tematu. Spotkałam się już z kilkoma ministrami i przedstawicielami ministerstw, bo, jak wspomniałam, bursztyn to nauka, kultura, gospodarka i dyplomacja. W Polsce bursztynem zajmuje się

na co dzień dziewięć mini-sterstw i dwie kancelarie. Kancelarie dlatego, że przekazują bursztyn jako prezent dyplomatyczny. Dobrze byłoby więc, żeby wiedziały, jakiej jakości bursztyn przekazują. Muzea zajmują się bursztynem, bo kupują obiekty do swoich kolekcji. Ostatnia duża transakcja to 650 tysięcy euro za obiekt zakupiony przez Muzeum Bursztynu w Gdańsku, które jest instytucją samorządową miasta Gdańska. Instytut Bursztynu byłby dla mnie miejscem, które zrzeszałoby naukowców z całego świata zajmujących się bursztynem bałtyckim. To oni mogliby ustalić coś na kształt diamentowych 4C, czyli wspólną klasyfikację jakości bursztynu, którą stosowałyby różne kraje. Muszą to zrobić naukowcy, bo w bursztynie ocena wartości działa inaczej niż w diamentach. W diamentach inkluzje przeszkadzają, są traktowane jako nieczystość. Diament powinien być czysty. W bursztynie jest odwrotnie: inkluzja może podnosić wartość bryłki. Jeżeli w bursztynie znajdziemy bardzo rzadki okaz fauny albo flory, jego wartość rośnie. Przykładem jest jaszczurka zatopiona w bursztynie - niezwykle rzadka i cenna inkluzja. W bursztynie najczęściej zachowują się owady, pajęczaki czy fragmenty roślin, a drobne gady należą do prawdziwych unikatów. Taki instytut mógłby więc uporządkować chaos w ocenie bursztynu. Po drugie, archiwizowałby wiedzę, która jest dziś rozproszona między wieloma dziedzinami nauki. Po trzecie, dzieliłby się tą wiedzą ze światem. A świat tej wiedzy potrzebuje. Bardzo aktywne są dziś rynki azjatyckie, szczególnie Chiny, oraz rynki arabskie. W handlu bursztynem i obiektami z bursztynu obraca się tam ogromnymi pieniędzmi. Ale często brakuje instytucji, do której można się zwrócić po rzetelną, państwową, naukową ekspertyzę.

Chodzi więc nie tylko o promocję bursztynu, ale też o bezpieczeństwo rynku?

Tak jest. Mamy dziś bardzo palący problem: nie ma prawnego uregulowania czynności zawodowej rzeczoznawcy jubilerskiego, nie tylko od bursztynu, ale w ogóle od biżuterii, zegarków, diamentów czy kamieni szlachetnych. Cały luksusowy rynek w Polsce funkcjonuje w dużej mierze dzięki rzeczoznawcom, którzy są samozwańcy. Teoretycznie dziś mogą się obudzić i powiedzieć: jestem rzeczoznawcą bursztynu. Mogę pójść do galerii sztuki albo muzeum i zaproponować, że będę pomagała wyceniać obiekty. Nie ma regulacji, a to może rodzić ogromne konsekwencje. Zwłaszcza gdy mówimy o rzeczach bardzo drogich, kupowanych za pu-

bliczne pieniądze. Kolejna sprawa to konserwacja. Nie mamy wyspecjalizowanego ośrodka konserwacji artefaktów bursztynowych. Rosjanie mają to bardzo dobrze opanowane. Tymczasem bursztyn, przez swoje właściwości fizyczne i kruchość, a także przez niewłaściwe warunki ekspozycji, może ulegać zniszczeniu. Jeśli muzeum kupuje obiekt za ogromne pieniądze, musimy mieć zaplecze chemiczne i konserwatorskie, które pozwoli go zabezpieczyć. Konserwujemy przecież wszystkie inne zabytki. Bursztyn także tego wymaga, dlatego Instytut Bursztynu nie byłby tylko miejscem promocji. Byłby centrum nauki, klasyfikacji, ochrony rynku, ekspertyz, konserwacji i archiwizacji wiedzy. Potrzebujemy takiego zaplecza, jeśli naprawdę chcemy traktować bursztyn jako nasze dziedzictwo.

Czytałam, że nasz bursztyn cieszy się ogromnym powodzeniem w krajach arabskich. Dlaczego?

To są historie znane od tysięcy lat. Bursztyn trafił na tamte rynki już bardzo dawno temu. Peter Frankopan pisał o tym w „Jedwabnych szlakach”, także w kontekście dawnych szlaków niewolniczych. Według tych opisów bursztyn był przewożony razem ze Słowianami, którzy trafiali na tamte rynki jako niewolnicy. Był zupełnie inny niż znane im materiały wykorzystywane do zdobnictwa. A człowiek od tysięcy lat fascynował się tym, co świeci, co jest piękne, niezwykle, inne. Bursztyn ma też tę właściwość, że kiedy bierze się bryłkę do ręki, ona jest ciepła. Zachowuje się inaczej niż zwykłe minerały. To działało na wyobraźnię. Kiedy pojawiły się religie i modlitwa, bursztyn zaczął funkcjonować również jako materiał do przedmiotów religijnych. I dlatego dzisiaj jednym z najcenniejszych akcesoriów dla mężczyzn w krajach Bliskiego Wschodu są mużułmańskie różańce, czyli prayer beads. W krajach arabskich, zwłaszcza w sześciu państwach Rady Współpracy Zatoki Perskiej, mężczyźni potrafią wydawać na nie ogromne pieniądze. Bursztyn z Polski jest tam traktowany jako synonim superluksusowego materiału. Nawet mniejsi kolekcjonerzy potrafią mieć po kilkaset takich różańców. Na bazarach, gdy wisi różaniec z bursztynu i jest przy nim informacja „made in Poland”, jego cena jest wyższa. Ich podejście do bursztynu to w ogromnej mierze właśnie zakup prayer beads, czyli kulek do modlitwy. W islamie odmawia się 99 imion Allaha i trzeba je sobie odliczać. Chrześcijaństwo później zaadaptowało podobną formę do własnych róż-

zańców. U nas różańce chrześcijańskie są dziś używane coraz rzadziej, natomiast w krajach arabskich te bursztynowe kulki nadal funkcjonują bardzo mocno. Rozmawiam z młodszymi kolekcjonerami i widzę, że dla nich coraz częściej jest to także atrybut luksusu. Przeciętny bogaty Arab ma bardzo dobry zegarek, bardzo dobry samochód, czyli kluczyki do niego, i właśnie bursztynowy różaniec. To są trzy rzeczy, bez których nie wychodzi z domu.

Ma Pani pomysł, żeby odczarować bursztyn z wizerunku staromodnej zawieszki? Jak pokazywać go jako nowoczesny design, coś wartościowego i jednocześnie opowieść o Polsce?

Ale ja nie chcę odczarowywać bursztynu - niech on zostanie zaczarowany. Niech ma w sobie wszystkie legendy, historie i tajemnice. Chodzi o coś innego: o zbudowanie świadomości, że kupując bursztyn, zwłaszcza bursztyn naturalny, kupujemy kawałek historii. To jest coś, co przez ponad 40 milionów lat było ukryte w ziemi i przechowało dla nas ślad dawnego świata. Niezależnie od tego, czy mówimy o surowej bryłce, czy o obrobionym bursztynie. Jeśli chodzi o biżuterię, czyli już konkretne wyroby z bursztynu, wszystko zależy od świadomości, ale też od odpowiedzialności producentów. Mamy wielu twórców, którzy robią fantastyczny, nowoczesny design. Taki, w którym gdyby w miejsce bursztynu włożyć szafir, nadal byłaby to piękna biżuteria. Ale są też przedsiębiorcy, którzy traktują bursztyn jak tani surowiec i oprawiają go w tani design. Bez dobrego wzornictwa, bez myślenia o tym, czym dzisiaj może zachwycić współczesnego miłośnika biżuterii. Dlatego potrzebne są dwie rzeczy. Po pierwsze, świadomość klientów: co kupują i dlaczego kupują bursztyn. Po drugie, odpowiedzialność projektantów i producentów, żeby pokazywać bursztyn w sposób nowoczesny, ciekawy, atrakcyjny. Takie działania podejmowaliśmy w Stowarzyszeniu. Jeździliśmy po świecie i pokazywaliśmy wybrane designy oraz twórców, którzy naprawdę robią fantastyczne rzeczy. Staraliśmy się też lokować bursztyn w filmach i serialach dzięki współpracy z kostiumografami. Bursztyn pojawił się między innymi w filmie „Miłość na pierwszej stronie” Marii Sadowskiej czy w serialu Polsatu „Bracia”, którego część zdjęć realizowano w Gdańsku i Trójmieście. Chodzi o to, żeby dzisiejszy klient zobaczył, że bursztyn nie musi być wielką, ciężką zawieszka z dawnych lat - może być elementem bardzo dobrej, współczesnej biżuterii.

do tego dążyć. Wykorzystują to mężczyźni, czasem agencje, czasem kobiety werbujące inne kobiety. Mówią: „Możesz tak żyć. Pojedziesz na jacht. Będziesz dziewczyną do towarzysstwa. Nic nadzwyczajnego się nie wydarzy. Poznasz fantastycznych ludzi”. Na początku rzeczywiście może nie wydarzyć się nic drastycznego. Mężczyzna, który poluje, nawet jeśli zapłacił za tę przyjemność, potrafi być miły, szarmancki, czarujący. Dziewczyna czuje się wybrana. Jest niedoświadczona, widzi koleżanki, które żyją wspaniale, i myśli: „Mnie też się udało. Będę jak one”. Ten pierwszy krok robi czasem dla przysłowiowej torebki. Albo po to, żeby znaleźć się na pięknym jachcie. Pojechać na wakacje, przejechać się drogim samochodem, pójść na zakupy na Via Monte Napoleone w Mediolanie czy Avenue Montaigne w Paryżu. Dostać buty, perfumy, sukienkę. Często nie ma świadomości, że właśnie weszła w mechanizm, z którego bardzo trudno będzie jej wyjść. Mówi sobie: „Zrobię to raz”. Albo myśli: „On się naprawdę we mnie zakochał”. I to jest w tych procederach najokrutniejsze. Dziewczyny rzadko są wabione brutalnym komunikatem: „Pójdź z kimś do łóżka, dostaniesz pięć tysięcy euro i się ustawisz”. To zwykle nie tak wygląda. One słyszą: „Jesteś wyjątkowa. Jesteś najpiękniejsza. Nie musisz być z biedakiem. Poznasz fantastycznego mężczyznę, fantastycznych ludzi. Zrobisz dobrą kampanię reklamową. Na tej kolacji będzie właściciel wielkiej międzynarodowej firmy. Broker. Ktoś, kto może ci zapewnić karierę”. A kiedy już popelnia pierwszy błąd, bardzo często są materiały, które mają sprawić, żeby nigdy z tego układu nie wyszły. Nagrania, zdjęcia, dokumenty, dowody. Coś, czym można je szantażować. Po to powstały moje książki. Żeby pokazać cenę, którą płaci się po latach za wejście do tego świata.

Swoje książki opiera Pani na faktach. Czy „Dziewczyna z wyspy miliardera” zawiera wątki autobiograficzne?

Nie opisuję tu zdarzeń, które mnie dotyczyły. To prawdziwa historia modelki, którą poznałam. Później poznałam także jej mamę. Obiecałam im pełną anonimowość. Czasami czuję się kimś w rodzaju pośredniczki, może misjonarki. Zdarza się, że ktoś po przeczytaniu mojej książki odzywa się do mnie na Instagramie i pisze: „Muszę pani opowiedzieć swoją historię”. Tak było z „Grą w ludzi”, a kobieta, która jest pierwowzorem bohaterki Anny, do dziś jest moją przyjaciółką. Tak powstały też książki „Agencja” i „Córka agencji”, kiedy napisała do mnie kobieta, że potrzebuje spowiedzi.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Eva Minga: Po to powstały moje książki. Żeby pokazać cenę, którą płaci się po latach za wejście do tego świata

Mieszka za granicą, spotkałyśmy się poza Polską. Opowiedziała mi swoją historię. Zmodyfikowałam ją literacko, żeby nie można było tej osoby rozpoznać nawet w jej dawnym środowisku. Ale ona bardzo chciała, żeby ludzie zobaczyli, jak to działa. Dlaczego kobiety wchodzą w takie układy, co nimi kieruje, jak trudno potem z tego wyjść. Mówiła o sobie i bardzo źle, i bardzo dobrze. Źle, bo była częścią tego świata. Dobrze, bo twierdziła, że niektórym dziewczynom pozwalała wyjść ze struktury i pomagała im przejść do innego życia. Nie musiały już być tylko dziewczynami do towarzysstwa. Czasem, za ich zgodą, wychowywała je na partnerki czy żony miliardersów. Ale kiedy nie chciały dalej w tym uczestniczyć, pomagała im odejść. Jednak większość dziewczyn nie ma takiej możliwości.

W jaki sposób agencje budują dziewczynom pozory kariery? Robią z dziewczyny „modelkę”, choć wcale nie o modeling chodzi.

Zdarzało mi się, że agencja informowała mnie: „Ta modelka na pokaz kosztuje tysiąc euro, ta pięć tysięcy, ta dziesięć tysięcy, a tę możesz wziąć za darmo, bo dopiero robimy jej twarz. Chcemy, żeby chodziła w dobrych pokazach”. Na początku się zgadzałam. Myślałam: fajna dziewczyna, początkująca, dobrze chodzi, dobrze wygląda, agencja chce ją wypromować. Ale z czasem zauważyłam pewną prawidłowość. Modelki mają określoną fizjonomię, wzrost, proporcje. Tymczasem niektóre z tych

dziewczyn były bardziej „miss” niż modelkami wybiegowymi. Często nie miały odpowiedniego wzrostu, miały bardziej kobiece kształty. Ale ja lubię pokazywać różnorodność. Pracuję z modelkami w różnym wieku, z różnymi typami urody, z modelkami plus size, z osobami z niepełnosprawnością. Więc czasem mówiłam: dobrze, zaproszę taką modelkę do mojego pokazu. Potem okazywało się, że taka dziewczyna robi dwa, trzy pokazy i znika. Nie ma jej w katalogu. Nie robi kampanii, nie rozwija kariery. Chodziło o to, aby klientowi została pokazana jako modelka. Aby można było powiedzieć: „To dziewczyna, która chodziła w paryskich pokazach”. I on już nie bierze przypadkowej dziewczyny, on bierze „modelkę”. Prawdziwe modelki, które robią karierę w modelingu, w czymś takim nie uczestniczą. Świat jest za mały. Gdyby dziewczyna raz czy drugi poszła z bardzo bogatym mężczyzną, mogłoby się zdarzyć, że on zobaczyłby ją potem w kampanii i zadzwonił do właściciela marki z pytaniem: „Prostytutkę bierzesz na pokazy?”. Ten świat jest brutalny. Opisywałam w moich książkach sytuacje, w których agencje przygotowywały dziewczyny nie tylko do bycia dziewczynami do towarzysstwa, ale także partnerkami czy żonami milionerów. Ktoś zażyczył, po rozczarowaniach w miłości, uznawał, że chce mieć kobietę skrojoną na miarę. Agencja miała ją przygotować, wychować, nauczyć funkcjonowania w odpowiednim świecie. To

wszystko brzmi jak fikcja, ale niestety jest rzeczywistością.

Wyspa miliardera z Pani książki jest wyspą Epsteina?

W książce opisałam konkretne miejsca, ulice, widać pewne zbieżności. Chciałabym jednak, żeby czytelnik sam ocenił, czy to jest wyspa Epsteina, czy nie. Natomiast takich wysp, takich enklaw, takich miejsc jest znacznie więcej. Nie zawsze jest to jedna konkretna wyspa należąca do jednego człowieka. Zdarza się, że grupa bardzo bogatych mężczyzn umawia się i wynajmuje na jakiś czas miejsce piękne, niedostępne, bardzo drogie. I tam odbywają się imprezy, zjeżdżają ludzie z całego świata. To są ludzie znudzeni, szukający ekstremalnych podnieć seksualnych. Czasem po prostu zwyrodnialcy, a czasem pedofile. To, co mnie uderzyło, kiedy przyglądałam się tym zjawiskom, to pewien rodzaj społecznego przyzwolenia. Wykorzystywanie bardzo młodych dziewczyn bywa traktowane z przerażającą obojętnością. Czternasto-, piętnasto-, szesnastolatki są coraz częściej ostrzegane jak dorosłe kobiety. Dziś naprawdę czasem trudno na pierwszy rzut oka rozpoznać, że dziewczyna ma czternaście lat. Ale to niczego nie usprawiedliwia. Problem w tym, że w hotelach, luksusowych enklawach, wśród obsługi często nikt nie reaguje. Ludzie nie są tym drastycznie poruszeni. Zwłaszcza jeśli dziewczyna sama przyszła, sama chciała, dobrowolnie w tym uczestniczyła. Tylko czy można mówić o świadomej do-

browolności, kiedy ktoś ma czternaście albo piętnaście lat?

Prywatna wyspa w Pani książce wydaje się też metaforą świata elit. Miejsca, do którego zwykli ludzie nie mają dostępu nawet jako świadkowie.

Tak. W takich miejscach wszystko jest odcięte. Na tego typu imprezach często nie wolno mieć telefonów. A nawet jeśli ktoś ma telefon, nie działa wi-fi, są urządzenia zakłócające sygnał, nie wolno robić zdjęć. Czy to znaczy, że nie ma kamer? Nie. Wszystko jest monitorowane, ale nie po to, żeby chronić ofiary. Raczej po to, żeby chronić system.

Skąd Pani ma wiedzę o tych mechanizmach?

Bardzo dużo czytam, również akta, sprawdzam strzępki informacji. Ale mam też to szczęście, że modelki mi ufają. Latami pracuję z wieloma dziewczynami. Jeśli ktoś czuje się u mnie bezpiecznie, widzi, że nie traktuję go jak przedmiotu, zaczyna mówić. Dziewczyny opowiadają mi o propozycjach, które dostają. O zaproszeniach, które brzmią niewinnie. O sytuacjach, w których ktoś obiecuje im karierę, kontrakt, wyjazd, a pod spodem kryje się zupełnie inna intencja.

Ujawnia Pani, jak działa szara strefa modelingu, kim są sprzedawcy marzeń, jak przebiegają mechanizmy werbunku. Czy ktoś próbował Panią uciszyć?

Tak. Przy mojej pierwszej książce, „Gra w ludzi”, dostałam kilka nieprzyjemnych wiadomości, były też telefony. Ale ja się takich rzeczy nie boję.

Zresztą jedna z największych światowych agencji poniosła później konsekwencje. Konsekwencje poniosła też bardzo znana marka bielizniana, którą opisuję w książce, ale wiele osób domyśli się, o którą chodzi. Dzisiaj ta marka próbuje wstać z kolan, ma nowego właściciela. A przecież jej historia także mocno łączyła się ze światem Epsteina. Wystarczy prześledzić, skąd brały się jego pierwsze pieniądze i jakie miał kontakty. Tajemnicą polszynela było kiedyś, że za bilet na pokazy tej marki trzeba było zapłacić ogromne pieniądze. To były pokazy kultowe, bardzo pożądane towarzysko, ale ja dziś patrzę na to zupełnie inaczej niż kiedyś. Dziewczyny wychodziły w samej bieliznie, prezentowane niemal jak trofea. To był pokaz ciała, nie tylko bielizny. Z perspektywy czasu, w związku z doświadczeniem, jakie mam, i w związku z tym, co zobaczyłam i opisałam w książkach, stałam się przeciwniczką takich form prezentowania kobiet. Także konkursów miss w wydaniu, w którym młode dziewczyny wychodzą w strojach kąpielowych. Jako feministki walczyłyśmy o to, żeby kobiety nie były traktowane jak ciało, jak mięso, jak obiekt do oglądania. A jednocześnie ustawiamy je na scenie i każemy zrobić krok w lewo, krok w prawo, uśmiech, pozę „dzbanuszek”, jak to nazywa moja przyjaciółka. Pytam: czemu ma to służyć? Jeśli już mają istnieć konkursy miss, niech za tym stoi coś więcej: wiedza, osobowość, dokonania, talent, konkretna historia, nie ciało wystawione do oceny. Bo w takiej formie te konkursy wydają mi się po prostu nieludzkie.

Spotkała Pani kobiety, które same kiedyś zostały skrzywdzone, a potem wprowadzały młodsze dziewczyny w ten sam proceder?

Spotkałam. I to jest dla mnie chyba jeden z najbardziej porażających elementów tej historii. Jestem w stanie zrozumieć mechanizmy męskiej żądzy, chęci zdobycia, potrzeby zaspokojenia. Nie usprawiedliwiam ich, ale rozumiem, jakie instynkty mogą za tym stać. Natomiast dużo trudniej jest mi zrozumieć kobiety, które werbują inne kobiety. Kobiety, które oswajają młode dziewczyny z tym światem, prowadzą je za rękę do miejsca, z którego potem bardzo trudno wyjść. Przecież prawa ręka Epsteina też była kobietą. I to pytanie wraca do mnie najmocniej: jak kobieta może zrobić coś takiego drugiej kobiecie? W „Dziewczynie z wyspy miliardera” mówię do rodziców: nie pchajcie małych dzieci w tego typu kariery. To nie jest ich czas. Dzieciństwo nie służy robieniu kariery, tylko temu,

dokończenie na str. 22

dokończenie ze str. 21

żeby człowiek mógł powoli zrozumieć, kim jest i kim chce być. Świat show-biznesu pokazuje, jak wysoką cenę można za to zapłacić, nawet bez prostytucji i bez tak drastycznych historii. Widzimy, co stało się z Britney Spears, która była dzieckiem show-biznesu. Widzimy też polskie dzieci, dziś już dorosłe, które zaczynają mówić o depresji, przeciążeniu, samotności, utracie siebie. Dziecko nie powinno być projektem kariery dorosłych, nawet jeśli jest piękne, zdolne, wyjątkowe. A może właśnie wtedy trzeba je chronić jeszcze bardziej.

Akurat rozmawiamy w Dzień Matki, a ja, kiedy czytałam Pani książkę, pomyślałam, że pewnie miała Pani dobrą relację ze swoją mamą. To się czuje.

Miałam cudowną relację z mamą. Była moją największą przyjaciółką. Urodziła mnie, kiedy miała dwadzieścia lat, więc była bardzo młodą mamą. W ogóle pochodzę z „dogrzanej” rodziny. Tak o tym mówię. To rodzina wielopokoleniowa, ciepła, silna. Stąd jest moja siła. Mama była bardzo mądrą i silną kobietą. To ona nauczyła mnie, że nie ma granic, których nie można przekroczyć, jeśli człowiek wie, kim jest i ma za sobą swoje korzenie.

Jaki był Pani dom rodzinny?

Ciepły. Artystyczny. To nie był dom, który jednoczył się przy stole. Nie zawsze siadaliśmy razem do śniadań czy obiadów, bo rodzice pracowali, a w niedzielę często chodziło się na obiad do babci. Nasz dom bardziej jednoczył się rozmową. Fotelami w pokoju. Sztalugami. Książkami. W domu było mnóstwo książek. To był dom, w którym się czytało. Kiedy rodzice zobaczyli, że czytam z latarką pod kołdrą, nie zabronili mi czytać po nocach, tylko kupili lampkę przy łóżku. Mogłam czytać tyle, ile potrzebowałam. Mogłam też uczyć się po nocach. A jeśli po kilku intensywnych dniach byłam tak zmęczona, że nie dawałam rady iść do szkoły, nie musiałam uciekać na wagary. Mówiłam: „Tato, nie pójde dziś do szkoły, muszę się wyspać”. Rodzice budzili mnie koło piątnastej. Rozumieli, że organizm czasem musi się zregenerować. Mama była plastyczką, choć nie wykonywała tego zawodu. Cały czas jednak była blisko sztuki, zajmowała się nią po godzinach, dla siebie, trochę rzeźbiła. Przez wiele lat prowadziła sekretariat w dużym przedsiębiorstwie handlu chemicjalnym w Szczecinku. Później zrealizowała swoje marzenie, a właściwie ja pomogłam jej je zrealizować. Kupiłam sklep, a ona urządziła sobie piękny salon i sprzedawała rzeczy, które projektowała jej córka. Tata też malował z pa-



Eva Minge: Nigdy się nie zgadzałam, żeby moje modelki zabierano w jakiegokolwiek podejrzanym miejscu

sji, interesował się kulturą. Pracował jako dyrektor zakładu budżetowego kultury i oświaty. Całe życie zajmował się kulturą, był wykładowcą, pedagogiem, kulturoznawcą. Nie żyłam w bogatym domu. Może nie zawsze były fajne ciuchy, może lodówka nie była pełna smakołyków, ale jedzenie zawsze było. Było ciepło, rozmowa, sztuka, książki i zgoda na to, że bym była sobą.

A Pani jaką była dziewczynką?

Zawsze miałam własne zdanie. Byłam bardzo dobrą uczennicą; wtedy nie było jeszcze szóstek, więc miałam średnią 5,0, a zachowanie najczęściej poprawne. Nie wzorowałam, bo dużo dyskutowałam. Miałam w sobie bunt, ale nie destrukcyjny. Raczej potrzebę rozmowy, sprawdzania, czy świat naprawdę musi wyglądać tak jak ktoś mi mówi. Przyjaźniłam się z najstarszymi, ze „spadochroniarzami”, jak się wtedy mówiło. Pisałam klasówkę z matematyki osobom, które siedziały z przodu i z tyłu. Byłam żywa, energiczna, ale rodzice byli o mnie spokojni, bo miałam silny kręgosłup moralny. Nigdy nie paliłam, nigdy nie piłam. Do dziś nie palę i nie piję. Oczywiście był okres dojrzewania, trzaskanie drzwiami, kłótnie. Czasem biegłam przez korytarz do babci, do mieszkania obok. Babcia Irenka była dla mnie bardzo ważną kobietą, równie ważną jak mama. Ważna była też siostra mamy, którą nazywaliśmy Lalką. Mam takie zdjęcie: siedzę ja, mała dziewczynka. Za mną mama, dalej Lalka, za nią babcia. Siedzimy jedna za drugą na ławce. Cztery pokolenia kobiet. To zdjęcie bardzo wiele o mnie mówi.

Była Pani jedynaczką?

Niestety, tak. Mama nie mogła mieć więcej dzieci. Ale nie byłam rozpuszczoną jedynaczką, bo wychowywałam się w dużej rodzinie. Bardzo ważne było dla mnie moje kuzynostwo, wujkowie, ciocie, jedna babcia, druga babcia. Babcia od strony taty miała pięcioro dzieci, więc wokół mnie było mnóstwo wujków, cioc, pracioć, babć ciotecznych. Miałam, myślę, bardzo szczęśliwe dzieciństwo na prowincji, wśród przyrody. Rodzinne wakacje spędzaliśmy pod namiotami. To było jeszcze za komuny, jechało nas kilkadziesiąt osób; było wspólne gotowanie, wspólne ogniska, wspieranie się, bycie razem. I to na pewno ukształtowało moją wyobraźnię.

Gdzie się Pani wychowywała?

Na Pojezierzu Drawskim, w Szczecinku. Mój ojciec nauczył mnie rozsądku i tego, żeby się nie poddawać. Jeśli coś się nie udało, trzeba było to przeanalizować i spróbować jeszcze raz. Moja mama z kolei jest odpowiedzialna za to, że bym w swoim życiu nie odczuwała żadnych granic, w stylu: „Tego nie wolno”, „Tam nie możesz”, „To nie dla ciebie”. Mama, babcie, ciocia, kochane kobiety z mojej rodziny nauczyły mnie, że człowieka nie definiuje miejsce urodzenia, stan majątkowy ani pozycja społeczna. Definiują go korzenie, wsparcie i odwaga, żeby wyjść poza to, co znane.

Stały za Panią silne kobiety.

To prawda. One wiedziały, że jeśli ktoś chce wejść w nieznaną, może nawet niebezpieczną świat, musi mieć dokąd wracać. A ja byłam pionierką. Przeciera-

łam szlaki. Jeździłam do Włoch, do Paryża, Mediolanu, Nowego Jorku, Moskwy. Robiłam rzeczy, których nikt wcześniej nie robił na taką skalę. To, czego dokonywałam wtedy w modzie, było dla dziewczyny z postkomunistycznego kraju czymś niemal kosmicznym. Trochę było to jak wejście do paszczy lwa. Ale zawsze wiedziałam, że tam, gdzie są moje korzenie, tam jest moje wsparcie. Czasem życie podcinało mi jakąś gałąź, czasem nie dojrzała, czasem zostałam zraniona. Wtedy wracałam do domu rodzinnego. Do mamy, taty, babci, cioci. I oni tę poranioną roślinkę, jaką się czułam, podlewali, opiekowali się. Bywało, że wystarczył weekend, że bym znowu była w pełni sił i mogła rosnąć dalej. Wychowałam się na prowincji, studiowałam w Poznaniu, a potem świadomie przeniosłam się na wieś. Zdobywałam świat, mieszkając nie w Paryżu czy Nowym Jorku, ale właśnie poza centrum. I to mnie nigdy nie definiowało. Nie muszę mieszkać w Paryżu ani w Nowym Jorku. Jeśli człowiek wie, kim jest, może mieć wielki świat w sobie.

Nie musi Pani mieszkać w wielkim świecie, kiedy może w nim żyć.

Dwa lata mieszkałam w Mediolanie i to był jeden z najtrudniejszych okresów w moim życiu. Mieszkałam też w Rzymie i to był piękny czas, bo Rzym kocham. Ale Mediolan był dla mnie bardzo trudny. Podobnie Warszawa, w której mieszkałam rok. Nie odnajduję się w wielkich aglomeracjach. Muszę mieć las za oknem. Potrzebuję przyrody, przestrzeni, wiejskiego klimatu.

Czy po takiej książce, jak „Dziewczyna z wyspy miliardera”, moda wciąż jest dla Pani piękna?

Moda jest piękna cały czas. Modeling potrzebuje pięknych modelek, ale też mądrych. Różnych. Nieoczywistych. Bardzo się cieszę, że moda coraz częściej sięga po dojrzałe modelki, po różne typy urody, różne ciała, różne historie. To jest piękne, bo my jako ludzie jesteśmy różni. W moich kolekcjach zawsze były rozmiary powyżej czterdziestki, czasem nawet pięćdziesiątki. W wielu domach mody w ogóle takich rozmiarów nie ma. A ja uważam, że każda kobieta jest piękna. Każda zasługuje na to, żeby być modelką własnego życia. I żeby jej życie było sztuką.

Teraz przygotowuje się Pani do pokazu w Paryżu. Co to będzie?

8 lipca w Paryżu pokażę projekt, który będzie moim manifestem. Trochę przeciwko modzie rozumianej jako konsumpcja, sezonowość, presja kupowania. Nazwałam go „Siedem grzechów współczesnych”. Chcę pokazać modę bliżej sztuki. Przygotowuję siedem wielkoformatowych, trzyipółmetrowych rzeźb mojego projektu. Jednym z grzechów będzie miłość, innym cnota – przewrotnie, bo żyjemy w czasach, w których wartości bardzo łatwo się odwracają. Na końcu pojawią się żywe modelki, które pokażą kolekcję inspirowaną moją sztuką. To będzie mój apel: żebyśmy wrócili do trwałych wartości. Żeby nie kupować jak zakupoholicy, nie zaśmiecać planety, nie wierzyć ślepo w to, co dyktują katalogi. Że-

byśmy sami tworzyli modę i sztukę swojego życia.

Czy świat po Epsteinie czegoś się nauczył?

Moim zdaniem nic się nie zmieniło. Nadal istnieją ludzie tacy jak Epstein. Nadal istnieją takie wyspy. Nadal istnieje ten proceder. Co więcej, bardzo wiele osób byłoby nieszczęśliwych, gdyby ten świat przestał istnieć, bo zarabiają na nim ogromne pieniądze. Niektóre kobiety także.

Wie już Pani, o czym będzie następna książka?

Myślę, że to będzie moja najtrudniejsza książka. I że wstrząśnie zupełnie innym światem niż show-biznes. Nie będzie to książka związana z modą ani z celebryckim światem. Piszę ją od trzech lat, przy asyście dwóch prawników. Będzie dotyczyła polityki, służb i moich własnych, bardzo prywatnych przeżyć. Przy tej książce naprawdę zaczynam się bać. W jakimś sensie już oglądam się za siebie.

KSIĄŻKA



Eva Minge, „Dziewczyna z wyspy miliardera”, wyd. Prószyński i S-ka

Zacznijmy od nazwy, „Wieczysta” to nie zapowiedź istnienia do końca świata i jeden dzień dłużej. To po prostu historyczne osiedle i zarazem popularny rejon Krakowa.

Budowana za prywatne miliony

Wieczysta założona została w 1942 r. Piłkarski klub sportowych sukcesów większych nie miał, w XXI w. grał głównie w klasie okręgowej Kraków (5.-6. poziom w kraju, obecnie siódmy), przez dwa lata nawet w niższej klasie A (ostatnio w 2016 r.).

Awans do Ekstraklasy w 2026 r. nie byłby możliwy bez wsparcia Wojciecha Kwietnia. Biznesmen z Krakowa, m.in. właściciel sieci aptek Słoneczna, na drużynę w ciągu ostatnich kilku lat wyłożył grube miliony. Ile? Trudno ocenić, to tajemnica. Szacuje się, że budżet klubu w minionym sezonie I ligi wynosił około 50 milionów złotych (a tyle to nie ma wiele ekip z Ekstraklasy). W dużej mierze to z prywatnych środków zmodernizowano obiekt Wieczystej. Przypomnijmy, że sam Kraków - w odróżnieniu od wielu innych miast - nie dotuje profesjonalnych drużyn z publicznych środków.

Piłkarze Wieczystej są sówicie opłacani. Według nieoficjalnych informacji w tym sezonie widełki płacowe w I lidze to 60-150 tys. zł miesięcznie, czyli na wysokim ekstraklasowym poziomie. No bo jak namówić na przykład byłego reprezentanta Polski do tego, by przyszedł do, powiedzmy, III ligi, skoro dostałby pracę na wyższym poziomie? Oczywiście przebicie oferty kontraktu.

Zanegdotek - jeden z zawodników odszedł z ekstraklasowego klubu, gdzie zarabiał 30 tys. zł miesięcznie, do III-ligowej Wieczystej, bo tu dostał też 30 tys., ale w euro...

Bardzo szybka droga do Ekstraklasy

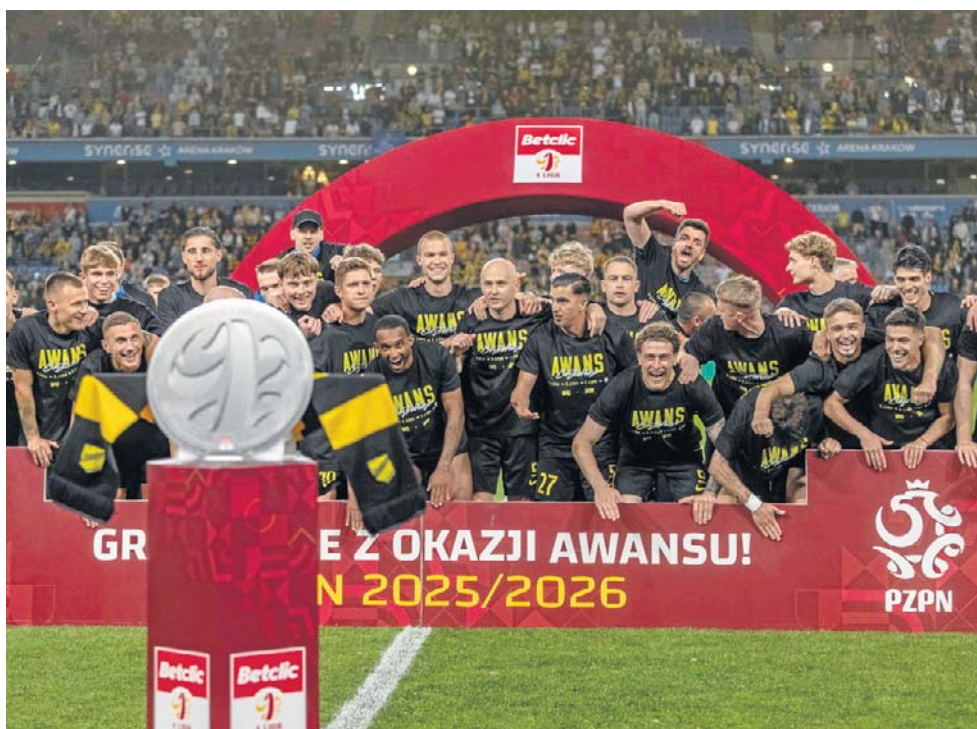
Z okręgówki do Ekstraklasy klub doszedł w 7 lat. W 2019 r. rozpoczęła się już konkretna budowa „wielkiej Wieczystej”. Zatrudniono uznanego trenera Przemysława Cecherza, ściągnięto na ten poziom kolejnych zawodników z zapisanymi w piłkarskim CV wyższymi ligami. W tamtym sezonie nie udało się wywalczyć awansu, bo z powodu pandemii rozgrywki skrócono po rundzie jesiennej. A na półmetku Wieczysta, choć niepokonana, zajmowała 2. miejsce w tabeli, za Garbarnią II Kraków i obszła się smakiem.

Później było już niemal bezbłędnie, dłuższy postój przytrafił się tylko raz - w III lidze, bo w pierwszym sezonie na tym szczeblu nie udało się zdobyć awansu. Potem już drużyna co roku pokonywała poszczególne szczeble - w trzy lata dotarła z III ligi do Ekstraklasy, co w obec-

ZAPOWIEDŹ ISTNIENIA DO KOŃCA ŚWIATA?

Wieczysta Kraków w kilka lat przeszła niesamowitą sportową drogę od ligi regionalnej do elity. Od początku wzbudzała skrajne emocje. Dziś wylewa się mikstura kpin i gratulacji, do tego pytania o przyszłość. No to Polsko, poznaj Wieczystą Kraków

Artur Bogacki



Kraków ma trzy kluby w Ekstraklasie. Od nowego sezonu występować będą jednocześnie trzy kluby: Cracovia, Wisła Kraków i Wieczysta Kraków

nym futbolu w naszym kraju jest sytuacją bez precedensu.

Medialny szum wokół Wieczystej. Peszko twarzą projektu

Taki marsz na szczyt „nie mógł” odbyć się po cichu. Skoro do klasy okręgowej ściąga się znane nazwiska ze świata futbolu, to o klubie musi być głośno. Już w 2020 roku niemal sięgnięto sufitu, po tym jak znany z Ekstraklasy i reprezentacji Polski Sławomir Peszko zaczął biegać w koszulce Wieczystej po boiskach „okręgówki” (a dwa lata wcześniej był z kadrą na MŚ). Wkrótce dołączyli inni byli kadrowicz Radosław Majewski.

Zresztą Peszko do tej pory jest „twarzą” tego projektu - był piłkarzem, trenerem, dyrektorem, a obecnie jest wiceprezesem ds. sportowych.

Na tym nie koniec. W III lidze (czwarty poziom) hitami było sprowadzenie byłych reprezentantów Polski Michała Pazdana (dotrwał do awansu do Ekstraklasy) i Jacka Góralskiego (w zimie został wystawiony na listę transferową). „Ligowców” było zresztą więcej, m.in. od III ligi gra Rafał Pietrzak (też był w reprezentacji). Pozyskano Thibaulta

Moulina, który z Legią walczył w Lidze Mistrzów (a nawet strzelił bramkę Realowi Madryt). Przed tym sezonem dołączyli Carlitos (był król strzelców Ekstraklasy) czy Lucas Piazon, mający na koncie występy w Chelsea.

Skrajne emocje

Taki pomysł na budowę drużyny w niższej lidze - przez pompowanie w nią milionów, „podbieranie” zawodników innym klubom i wymienianie co roku kilkunastu piłkarzy na „atrakcyjniejszych” - oczywiście musiał spotkać się z falą hejtu. W teorii to dobra metoda do szybkiego osiągnięcia celu. Zderzenie z rzeczywistością to weryfikuje - bo który klub w Polsce, nawet mając duży budżet, tak szybko dostał się do Ekstraklasy? Niektórym nie udaje się to przez lata.

Krytycy co rusz wieścili rychły koniec tego projektu, bo główny sponsor rzekomo miałby szybko stracić zainteresowanie. Wodą na młyn hejterów było to, że zespół nie zawsze błyszczał, a awans w dwóch ostatnich sezonach uzyskiwał nie bezpo-

średnio, a po barażach, wręcz tylnymi drzwiami.

Gorąco w przestrzeni medialnej zrobiło się zwłaszcza teraz, tuż przed decydującą walką o Ekstraklasę. Kwiecień miał w planach mocniejsze zainwestowanie w Wisłę, co oznaczałoby przykręcenie kurka z kasą dla Wieczystej, ponoć nawet po awansie (zespół miałby grać w lidze regionalnej). Na mocniejszą współpracę z „Białą Gwiazdą” ostatecznie się nie zanosi, co zresztą już udało nam się potwierdzić.

A więc Wieczysta ma pokazać się w Ekstraklasie. Pewnie na bogato...

Bardzo gorący stołek trenerski

Wysokie aspiracje, gruby portfel głównego sponsora wpływały także na zmiany trenerów, czasem wydawałoby się nieracjonalne, bo nie zawsze za same wyniki. Od granicznego 2019 r. Wieczystą prowadziło 8 szkoleniowców (nie licząc wielokrotnie tymczasowego zastępcy Rafała Jędraszczyka), w tym jeden dwukrotnie. Dwa razy do tej samej rzeki wszedł Przemysław

Cecherz. W IV lidze drużynę prowadził były selekcjoner reprezentacji Polski, śp. Franciszek Smuda.

Stołek w Wieczystej był gorący. Cecherz za pierwszym razem zwolniony został - to wniosek nieoficjalny - bo w wywiadzie powiedział coś, co nie spodobało się władzom klubu. Przy drugim podejściu zastano się z nim w ostatnim sezonie, gdy będąca beniaminkiem Wieczysta zajmowała w tabeli... 2. miejsce. Tu z kolei problemem miał być brzydki styl gry.

Za „wrażenie artystyczne” pracę szybko stracił też w tym roku Gino Lettieri. Włoski trener poprowadził drużynę w jednym sparingu i ledwie trzech meczach ligowych. Trudniejszy okres wynikowo był też za czasów Kazimierza Moskala, którego niektórzy dziennikarze już zwalniali, a on ostatecznie wprowadził zespół do elity.

Stadion bez licencji, ale z wyjątkowym widokiem

Domem Wieczystej jest stadion przy ul. Chałupnika. Wraz kolejnymi awansami obiekt dostosowywany był do wyższych lig, ale pewnych wymogów nie dało się już zrealizować w tak krótkim czasie. Ostatnie mecze ligowe u siebie zespół rozgrywał rok temu, w II lidze. Powstał projekt nowoczesnego stadionu, lecz miastu, które jest właścicielem terenów, zabrakło na to pieniędzy (mówiło się nawet o koszcach na poziomie 140 mln złotych). Pomysł upadł i na razie nie ma co liczyć, by Wieczysta grała u siebie.

W I lidze zespół występował w Sosnowcu, baraże miał na stadionie Wisły. To właśnie także ten drugi obiekt zgłosił do licencji na Ekstraklasę. Ale to jeszcze nie znaczy, że tam zagra.

Ciekawostka - siedząc na trybunie przy Chałupnika, widać charakterystyczny, wysoki budynek położonego po sąsiedzku Kościoła Matki Boskiej Ostrobramskiej.

Pani Grażyna na trybunach

Hejterzy śmieją się, że Wieczysta to „klub bez kibiców”. Owszem, tak zorganizowanej grupy, jak w ekipach z większą tradycją na szczeblu centralnym, nie ma. I faktycznie, na mecze do Sosnowca, gdzie podejmowano rywali w I lidze, nie jeździło wielu fanów (im bliżej sezonu, tym z frekwencją było gorzej), słabo było też na wyjazdach. Z drugiej strony - baraże w Krakowie oglądało po 7 tysięcy widzów (tyle biletów przygotowano), więc potencjał i zainteresowanie są.

Kto chodził regulamie na mecze Wieczystej, z pewnością rozpoznaje na trybunach jedną postać. Chodzi o zdzierającą gardło, żywiołowo dopingującą panią Grażynę, której okrzyk „Wieczysta najlepsza jest” słychać było już w klasie okręgowej w latach

90. Jeśli wybierać kibica numer 1, to tu wątpliwości nie ma.

Wkrótce pewnie za „dyszkę”

W czasach „ery Kwietnia” w ligach regionalnych, a także w II lidze (czyli już na szczeblu centralnym), wstęp na mecze Wieczystej - rozgrywane wówczas przy Chałupnika - był dla kibiców bezpłatny. Drugiego takiego klubu w Polsce chyba nie ma. Na spotkania w Sosnowcu w I lidze opłata za wejściówkę była symboliczna - 1 złoty. Tak samo postąpiono podczas gry w barażach na stadionie Wisły.

Już teraz się słyszy, że w Ekstraklasie cena również ma być promocyjna (stawiamy, że pewnie 5-10 zł), dużo niższa niż w innych klubach.

Wieczysta i jej sponsor „nie lubią” dziennikarzy

Jeśli chodzi o współpracę z mediami, Wieczysta jest specyficzna. Inne kluby organizują konferencje przed sezonem, także przed poszczególnymi meczami - czy to na terenie klubu, czy w formule online. W Wieczystej tego nawet w I lidze nie było! Jedynym spotkaniem z dziennikarzami w ciągu minionego sezonu poświęcone było ogłoszeniu współpracy ze sponsorem (tym „słynnym” z branży kryptowalut).

Żeby była jasność - warunki pracy dziennikarzy na meczach są bez zarzutu, a umówienie rozmowy z danym piłkarzem też nie jest problemem. Niemniej jednak do przyjętych ogólnie standardów - i takiej formy promocji - klub jeszcze w pełni się nie rozwinął.

Mediów unika także główny sponsor. Wojciech Kwiecień bardzo ceni prywatność, wywiadów nie udziela, nie ma go w mediach społecznościowych. A po publikacji zdjęć zgłasza sprzeciw, przysyłając pismo od prawnika z prośbą o usunięcie fotografii... To zupełnie inne podejście niż choćby u szefa Wisły Jarosława Królewskiego, z którym zresztą prywatnie się przyjaźnią.

Hymn na religijną nutę

Wieczysta ma swój hymn! Ułożył go będący przez lata spikerem Janusz Malicki, sam wykonywał go przed meczami w ligach regionalnych. Co ciekawe, warstwa melodyczna to religijna pieśń „Czarna Madonna”. Autor uzyskał nawet specjalną księgielną zgodę na jej wykorzystanie.

Po tylu awansach początek trochę się już dezaktualizował, bo klub się rozrósł: „Jest w Krakowie przy Meissnera mały klubik, każdy wie / Jego barwy żółto-czarne, a Wieczysta on się zwie”.

Refron do Ekstraklasy nadal pasuje: „Hej, Wieczysta, hej, Wieczysta, Ukochany klubie nasz, W każdym meczu piłki nożnej Ty wspaniale już nam grasz!”

SZEŚĆ MISJI W IRAKU I W AFGANISTANIE: JEŚLI TRZEBA, JESTEM GOTOWY

– Jestem żołnierzem, do tego przygotowywałem się przez lata. Wzięłem udział w czterech misjach w Afganistanie i dwóch w Iraku. Jeśli tylko ojczyzna będzie tego wymagać, by wyjechać na kolejną misję, to jestem gotowy – mówi kapitan Krzysztof Sienkiewicz

Grzegorz Okoński

Kapitan Krzysztof Sienkiewicz, oficer Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych w Poznaniu, wykładowca w Cyklu Taktyki, „misjonarz” i – jak sam o sobie mówi – żołnierz. To wystarczy, bo właśnie żołnierzem chciał być od zawsze, konsekwentnie wydeptywał ścieżki do Wojskowej Komendy Uzupelnienia, cieszył się z przyjęcia do szkoły podoficerskiej, a teraz uczy żołnierskiego rzemiosła w sali wykładowej i na poligonie. Dzień 29 maja, Dzień Weterana Działań poza Granicami Państwa, ustanowiony przez Sejm w 2011 roku, a obchodzony od 2012 roku, jest też jego świętem, bo na misje wyjeżdżał już sześć razy!

– Zawodowym żołnierzem jestem od 2004 roku, wcześniej po ukończeniu szkoły średniej odbyłem służbę zasadniczą i przez pół roku szukałem możliwości, by do wojska wrócić i zostać tam na stałe. W WKU mnie już chyba nie lubili, tak często przychodziłem z pytaniami o możliwość pracy w wojsku. Szansą okazała się szkoła podoficerska, po której dostałem już etat. Jeszcze w niej poznałem żołnierzy, którzy już byli na misjach, i zapragnąłem też tam służyć mojemu krajowi.

Okazała do sprawdzenia się w warunkach misji poza granicami kraju trafiła się w roku 2008 roku: wtedy Krzysztof Sienkiewicz wyjechał do Afganistanu na misję stabilizacyjną.

– To nie była wycieczka turystyczna, lecz wyjazd w naprawdę niebezpieczne miejsce, w gorącym czasie. Wtedy działała Al-Kaida, żył jeszcze Osama bin Laden. Byłem jednak spokojny: wiedziałem, że jesteśmy stuprocentowymi żołnierzami, profesjonalnie przygotowanymi i pracującymi w ściśle określonych ramach kontyngentu. Z jednej strony stała gotowość bojowa, z drugiej działania humanitarne, współpraca z ludnością cywilną. Gdy wkraczaliśmy do miejscowości, gdzie zabezpieczaliśmy spotkania lokalnej ludności z komórką współpracy wojskowej CIMIC, – która prowadziła rozmowy z jej mieszkańcami, przekazywała pomoc humanitarną, a my ją eskortowaliśmy – zawsze się jakaś cola znalazła pod ręką dla dzieciaków...

Krzysztofowi udało się odsłużyć cały okres misji bezpiecznie i wrócić do Polski. Zadeklarował, że jest gotów do kolejnego wyjazdu...

– Następny wyjazd na misję, również do Afganistanu, przypadł na 2011 rok. Wtedy zostałem dowódcą Optycznego Posterunku Obserwacyjnego, odpowiedzialnego za monitoring terenów otaczających bazę.

Zasadzka na polski patrol

W czasie tej misji, jakieś dwa tygodnie przed jej końcem, w czasie patrolu w Karabachu, talibowie zdetonowali bardzo duży ładunek wybuchowy przed kolumną polskich pojazdów. Ładunek odpalany był elektrycznie i jego operator źle obliczył moment detonacji...

– Ładunek wywalił potężny lej przed naszym pojazdem saperskim: ja mam metr osiemdziesiąt dwa wzrostu, a gdy wszedłem później do tego leja, to do krawędzi miałem jeszcze z dobrych dziesięć centymetrów. Po wybuchu dostaliśmy się pod raczej niecelny ostrzał moździerzowy i odpowiedzieliśmy ogniem... Wtedy w ogóle mieliśmy dużo kontaktów bojowych, pojedynczych strzałów karabinowych, ostrzałów rakiety, syren alarmów. Szybko człowiek się przyzwyczaił do takich warunków bojowych i spokojnie wykonywaliśmy zadania.

Druga misja była też dla kapitana nieco inna od pierwszej pod względem... rodzinnym: na pierwszą jechał jako kawaler, na drugą już jako mąż i ojciec!

– Żona przysłała mi filmiki, jak syn, który miał trzy miesiące, gdy wylatywałem, leży, jak się zachowuje, mieliśmy stale kontakt. Nie

mogłem już doczekać się, gdy wrócę i ich zobaczę.

Wiadomo było jednak także, że wróci na misję, jeśli tylko otrzyma takie zadanie. Tak też się stało i dwie kolejne misje spędził również w Afganistanie, już jako zastępca dowódcy plutonu.

Profesjonalnie, czyli skutecznie w warunkach bojowych

– Taka misja to jest okres kilku miesięcy, około sześciu. Jesteśmy do niej znakomicie przygotowani, możemy się podjąć każdego zleconego zadania. Nawet żartowaliśmy, że nie musimy realizować wielkich formalności, gdy dojdzie do awarii broni czy pojazdu, jak to było w oddziałach o bardzo dobrze rozwiniętej logistyce, lecz sami wszystko naprawialiśmy. Do tego, znając dobrze mentalność ludności i lokalnych oddziałów sojuszniczych, wiedzieliśmy, jak zabezpieczać się przed próbami przeniknięcia talibów w do bazy czy do miejsc, gdzie działaliśmy – bo wobec korupcji czy szantażu wcale nie można było być pewnym, że np. miejscowi żołnierze i policjanci nie będą zmuszeni do współpracy z przeciwnikiem.

Kapitan Sienkiewicz mówi, że mimo to nieraz czuł dreszcz strachu – tylko głupcy się niczego nie boją... – gdy np. patrol idzie wydeptaną drogą, zawsze po śladach, i dostaje polecenie, by z tej drogi zejść, mając świadomość, że gdzieś tam z boku może czekać ładunek pułapka. Ale szczęście go nie opuszczało i w czasie misji ani razu nie został ranny.

Z Poznania na misje

– Dwie ostatnie misje, w latach 2021 i 2023-24, były już w Iraku – tam



Z polskim karabinkiem Mini Beryl, dobrze ocenianym w czasie działań w pomieszczeniach

FOT. KRZYSZTOF SIENKIEWICZ

POLACY UCZESTNICZĄ W MISJACH
POKOJOWYCH OD 1953 ROKU. DO TEJ
PORY WZIEŁO W NICH UDZIAŁ PONAD
120 TYSIĘCY NASZYCH ŻOŁNIERZY



FOT. KRZYSZTOF SIENKIEWICZ



FOT. KRZYSZTOF SIENKIEWICZ

Kapitan Krzysztof Sienkiewicz w czasie patrolu

w tym czasie było już spokojniej, wszędzie zauważano w miastach bardzo duże zainteresowanie Iraku tym, by nie dochodziło do niebezpiecznych zdarzeń. My zajmowaliśmy się zapewnianiem bezpieczeństwa ważnym osobom - wyższej rangi oficerom, prowadzącym szkolenia, dyplomatami, członkami rządów. Pracowaliśmy już nie na kamienistych drogach, jak wcześniej, tylko w centrum stolicy, realizując zadania w oparciu o budynki rządowe i szkolnictwo wojskowe, a także spotkania doradcze w hotelach i w restauracjach.

W czasie misji w Iraku pan Krzysztof był już oficerem, dowódcą plutonu. Współpracował z żołnierzami dobrze zgranymi w zespole, wśród których byli ludzie znani mu z wcześniejszych misji.

- W Iraku było nas trzech z Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych! Mam kontakt z kolegami, może nie z wszystkimi już z moich misji. Ale tak jak wtedy zawsze mogliśmy na siebie liczyć, tak i teraz wiem, że zawsze możemy do siebie zadzwonić i otwarcie pogadać.

Od ostatniej misji mijają dwa lata. Kapitan szkoli żołnierzy, podoficerów i oficerów przede wszystkim praktycznego rzemiosła, przekazując swoje doświadczenia. I jest gotowy na kolejne wezwanie.

- Jak będzie taka możliwość i potrzeba, jak ojczyzna będzie tego wymagać, to jestem gotowy, jadę - zapewnia Krzysztof Sienkiewicz.

Dzień Weterana

Dzień Weterana Działań poza Granicami Państwa przypada 29 maja. Ma

upamiętniać działania żołnierzy, policjantów, strażników granicznych i strażaków, którzy uczestniczyli w zagranicznych misjach pokojowych i stabilizacyjnych. W czasie ogólnopolskich uroczystości - w tym roku w Krakowie - odbywają się pokazy sprawności i sprzętu wojskowego, pikniki wojskowe, jest to też okazja do docenienia weteranów przez władze państwowe, przyznające odznaczenia.

Nie jest to jedyny Dzień Weterana w polskim kalendarzu: 1 września przypada Dzień Weterana Walk o Niepodległość Rzeczypospolitej Polskiej dedykowany weteranom, którzy walczyli o wolność kraju.

Polacy na misjach

- Pierwszy udział Polaków w misjach międzynarodowych datuje się

na rok 1953, gdy rząd PRL wysłał swych obserwatorów do Korei. Gdy 27 lipca 1953 roku podpisano traktat pokojowy w Pan Mun Jom, Polacy weszli w skład dwóch międzynarodowych komisji nadzorujących rozjem. W tych komisjach służyło łącznie ponad 1000 Polaków - informuje Stowarzyszenie Kombatantów Misji Pokojowych ONZ. - Początkowo polskie kontyngenty wojskowe specjalizowały się głównie w zadaniach logistycznych. Pierwszym z nich był UNEF II na półwyspie Synaj, który przebywał tam od listopada 1973 do stycznia 1980 roku w sile od 822 do 1026 żołnierzy. Kontyngent ten zapewniał zaplecze logistyczne misji. Polski szpital polowy był odpowiedzialny za zabezpieczenie medyczne. Jednostka logistyczna za-

pewniała wodę pitną i żywność wszystkim kontyngentom, a mniejsza jednostka - inżynierska - odpowiadała za rozminowywanie terenu.

Na Pomniku Żołnierzy Poległych w Misjach i Operacjach Wojskowych Poza Granicami Państwa, stojącym obok Centrum Weterana Działań poza Granicami Państwa w Warszawie, umieszczono taliczki symbolizujące 124 polskich żołnierzy i pracowników wojska poległych i zmarłych na misjach. Najwięcej ich - 44 - poległo lub zmarło w trakcie misji w Afganistanie. W trakcie misji w Iraku poległo 23 polskich żołnierzy.

W ponad 89 operacjach wzięło udział ponad 120 tysięcy żołnierzy i personelu wojskowego - informuje Ministerstwo Obrony Narodowej.

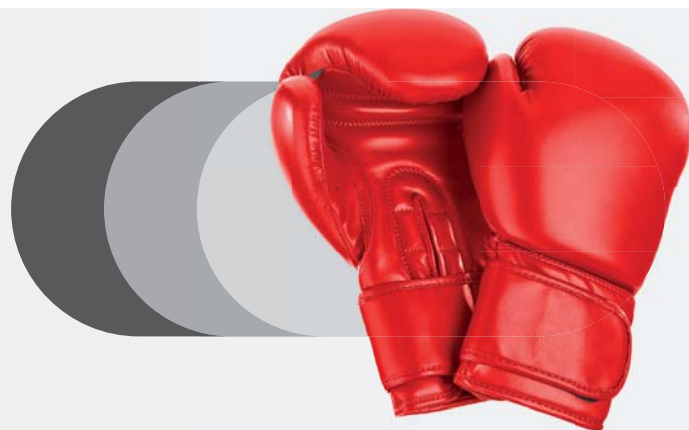
AUTOREKLAMA

Polecamy →

SPORTOWY24

Sport to Wy

sportowy24.pl





FOT. WIKIMEDIA.ORG

Wyciągnął siekiere z szpargałów w sieni. Przyjrzał się krytycznie ostrzu i obuchowi. Uznał, że spełnił zadanie

TRAGEDIA NA ULICY WIDOK

Kozłowski po wejściu do mieszkania oniemiał ze zgrozy. Na łózkach i podłodze leżały zmasakrowane ciała pięciu osób. Obok siekiera i brzytwa. Krew była w całej izbie

Mariusz Gadomski

Jeszcze żyli, któreś z nich jęknęło. Kozłowski opanował szok i wezwał pogotowie ratunkowe. Ranni w krytycznym stanie trafili do szpitala. Wyjaśnieniem krwawej masakry, do której doszło w dniu 11 lipca 1929 roku w mieszkaniu przy ulicy Widok 5, zajęła się policja. Ustalono przebieg tragedii i poprzedzające ją okoliczności.

Bieda aż piszczała

Był to jeden z tych dramatów rodzinnych, do jakich w dwudziestoleciu międzywojennym dochodziło niemal każdego tygodnia. Również w Lublinie. W „Głosie Lubelskim” napisali, że to jakieś fatum. Nic bardziej mylnego, To nie fatum ani inna siła wyższa. To ludzie ludzom zgotowali taki los.

W izbie na poddaszu jednopiętrowego domu mieszkał 56-letni Wacław Zawada z kochanką 35-letnią Julią Kozłowską i trójką jej dzieci z poprzed-

niego związku: 7-letnim Józkiem, 5-letnią Zosią i półtorarocznym Michałkiem. Żyli bardzo skromnie. Zajmowali mały ciemny pokój, za meble służyło kilka stołków i zbite z desek wyrka, imitujące łóżko.

Zawada był jedynym żywicielem pięcioosobowej rodziny. Pracował jako robotnik na kolei. Panuje przekonanie, że w II RP kolejarze zarabiali bardzo dobrze. Nawet jeśli rzeczywiście tak było, nie dotyczyło to wszystkich pracowników PKP. Zarobki Zawady ledwie pozwalały im związać koniec z końcem.

Chociaż Józio, Zosia i Michałek nie były dziećmi Zawady, to bardzo je kochał. Nie mógł się pogodzić, że muszą chodzić w starych pocerowanych łachach, a łakocie jadają od wielkiego święta. Nie zasłużyły na taki los...

Julia widziała jego smutek. Pocięła go, że jakoś to będzie,

może szczęście uśmiechnie się do nich. Najważniejsze, że się kochają i szanują.

Niestety, nadzieja, że im się polepszy, z roku na rok, z miesiąca na miesiąc słabła. Nastąpił wielki kryzys, ceny szły w górę, podniebiosa, szalało bezrobocie. Nikt nie był pewny dnia ani godziny. Bogaci dawali sobie radę, biedni stawali się jeszcze biedniejsi. Tak naprawdę nikogo nie obchodzili.

Musimy was zwolnić, Zawada

Wacław Zawada miał problemy z uszami. Konsekwencją nieleczzonej dolegliwości była postępująca głuchota. Bał się, żeby z tego powodu nie zwolniono go z pracy. Do tej pory kolej wiedząc o jego trudnej sytuacji szła mu na rękę. Ale to się skończyło. Na początku maja 1929 roku wezwali go do biura i oświadczyli, że z powodu choroby, nie mogą go dłużej zatrudnić.

- Jesteście głusi, Zawada, a praca na kolei jest niebezpieczna. Łatwo o wypadek. Sami więc rozumiecie, że musimy was zwolnić. Nie możemy łamać przepisów - powiedzieli.

W milczeniu przełknął hობową wieść, choć miał ochotę wyć i rwać włosy z głowy. Bo co teraz będzie? Nie znajdzie nowej pracy, bo kto zaryzykuje zatrudnienie głuchego. Przesłanie przynosić do domu pieniądze, nie zapłaca komornego, właściciel wyrzuci ich na bruk, co go obchodzi piątka nędzarzy. Pójdą na żebro, a dzieci na zatracenie, bo przecież nie będą w stanie zatrzymać ich przy sobie. Dobrze będzie, jeśli nie umrą z głodu.

Jak ja im o tym powiem? - myślał z rozpaczą, wracając do domu. Był piękny dzień majowy, wokół zielono, słońce świeciło. Ale nie dla nich. Pogoda jest tylko dla bogaczy...

W domu nie mógł sobie znaleźć miejsca. Kręcił się po izbie, wychodził na podwórze. Siadał na kamieniach, wpatrywał się w bliżej nieokreślony punkt, znów wracał. Ale nic poprawiało jego samopoczucia. Wydawał się być pogrążony w dziwnym letargu. Julia z niepokojem na niego spoglądała.

- Co ci jest Wacek? W pracy coś złego się wydarzyło? A może jesteś chory? - pytała troskliwie. Nie chciał powiedzieć jej prawdy. Ze sztucznym uśmiechem mówił, że wszystko dobrze, jest tylko trochę zmęczony.

Krwawa noc

Kilka dni później, 11 maja, wymyślił sposób rozwiązania wszystkich problemów. Jego partnerka szykowała skromną kolację, on zaś wyciągnął siekiere z szpargałów w sieni. Przyjrzał się krytycznie ostrzu i obuchowi. Uznał, że spełnił zadanie. Ukrył siekiere w miejscu niedostępnym dla kochanki i dzieci.

Po posiłku pobawił się z najstarszym synkiem Julii. Józio kochał najbardziej z całej trójki i serce mu się krajało, kiedy myślał o najbliższych rodzinach. Jego plan był przerażający. Niczym koszmary sennie, jakie każdej nocy go dręczyły. Nie wahał się jednak. Tak będzie lepiej - mówił sobie.

Zanim dzieci poszły spać dał im mleka. Rozpuścił w nim środek nasenny. Zrobił to, żeby nie czuły bólu. Około godziny 23, gdy rodzina już spała, Zawada wyciągnął z sieni siekiere i stanął z nią nad kochanką. Zadał jej

w głowę dwa ciosy ostrzem. Krew silnym strumieniem bryzgnęła na ścianę. Kobieta poruszała się i jęknęła, więc zadał jej dodatkowe uderzenie obuchem. Po tym ciosie Kozłowska znieruchomiała.

Zawada, przekonany, że ją zabił podszedł w kąt izby, gdzie spały dzieci. Najpierw zadał ciosy Zosi i Michałkowi. Nie uderzał zbyt mocno, był jednak przekonany, że to wystarczy. Na koniec stanął nad Józkiem. Chłopiec uśmiechał się przez sen. Zawada zamknął oczy i opuścił obuch topora na jego głowę. Cios rozprzątał mu czaszkę. Wyłynął z niej mózg dziecka.

Teraz przyszła pora na niego. Użył tej samej siekiery. Począł wymierzać sobie razy w głowę. Liczył, że po którymś z uderzeń ogarnie go ciemność i to będzie koniec. Ale był w błędzie. Trudno jest zadawać precyzyjne ciosy siekiere we własną głowę. Toteż Zawada, chociaż zalany krwią, wciąż żył i był przytomny.

Po chwili odłożył bezużyteczną dla niego siekiere. Podszedł do prymitywnej półki, gdzie leżały przybory do golenia. Wziął brzytwę, spojrzął na swoje odbicie w lustrze i jednym zdecydowanym ruchem przeciął sobie kark. Wtedy dopiero upadł na podłogę i po chwili zemdał.

Ratunek w ostatniej chwili

Julia Kozłowska miała jeszcze jednego syna. Władysław był już pełnoletni. Mieszkał z ojcem na ulicy Krochmalnej. Jego rodzice rozstali się przed laty w burzliwych okolicznościach. Ojciec wyгнаł matkę z domu.

W nocy z 11 na 12 maja przyszli do niego sąsiedzi matki i z przejęciem powiedzieli, żeby zaraz do niej biegł, bo dzieje się tam coś strasznego. Słyszeli jęki bólu i rumor, przypominający odgłos upadającego ciała. Nikt nie miał odwagi wejść, żeby zobaczyć, co się tam wydarzyło.

Władysław Kozłowski po kilku minutach był na ulicy Widok. W mieszkaniu na poddaszu znalazł straszliwie poranione ciała matki rodzeństwa i Wacława Zawady. Na podłodze i ścianach było pełno krwi. Wydawało mu się, że cała piątka nie żyje, jednakże w pewnym momencie któreś z dzieci poruszało się na łóżku i jęknęło. To oznaczało, że przynajmniej jedna osoba przeżyła te krwawe jatki i trzeba ją ratować.

Chłopak opanował szok. Pobiegnął na kolej, a stamtąd we-

zwano Pogotowie Ratunkowe, które wkrótce przybyło na miejsce wypadku. Okazało się, że wszyscy ranni żyją, jednak znajdują się w ciężkim stanie. Troje dzieci przewieziono do szpitala Dzieciątka Jezus, zaś Kozłowską i Zawadę do szpitala Szarytek.

Nazajutrz okolice domu, gdzie doszło do tragedii od wczesnego ranka okupowały tłumy Lublinian. Byli to nie tylko mieszkańcy dzielnicy kolejowej, ale także odległych części miasta, którzy przybyli tu, gdy dowiedzieli się o krwawej makabrze w izbie na poddaszu. Ludzie byli głęboko poruszeni, kilka kobiet zemdało, gdy usłyszały, że ofiarą bestialskiej zbrodni padły dzieci. Jedna doznała ataku serca i trzeba ją było reanimować.

Wiadomość o dramacie przy ulicy Widok zdominowała doniesienia, zarówno te lubelskie, jak też z kraju i ze świata. Nie była w stanie równać się z nią nawet sensacyjna informacja o tym, że carska rodzina, oficjalnie zastrzelona w 1917 roku, jakoby żyje i ukrywa się na obczyźnie przed bolszewikami.

Dwie ofiary śmiertelne

Chociaż na temat przyczyn zdarzenia krążyły po mieście najprzeróżniejsze plotki - mówiło się między innymi o zemście zazdrosnego kochanka - funkcjonariusze urzędu śledczego, którzy badali sprawę bez trudu doszła do prawdy. Ponad wszelką wątpliwość ustalono, że w zredukowany robotnik kolejowy w zamiarze zabójstwa zadał kochance i jej dzieciom ciosy siekiere, a następnie targnął się na życie przy użyciu brzytwy, którą przeciął sobie kark.

Jedynym powodem straszliwych czynów Wacława Zawady była rozpacz po utracie pracy i obawa nędzy. Wolał oszczędzić jej bliskim i sobie. Podjął decyzję o pozabawieniu wszystkich życia. Na szczęście nie udało mu się we pełni jej zrealizować.

Niezależni od motywu Zawadzie groziło więzienie za usiłowanie zabójstwa czworga osób. Czekano aż stan zdrowia mężczyzny pozwoli na przesłuchanie go i postawienie mu zarzutów. Jednak okazało się to niewykonalne. Wprawdzie lekarze, którzy badali rannych po przyjeździe ich do szpitali twierdzili, że obrażenia Wacława Zawady nie zagrażają jego życiu, lecz po kilku godzinach sprawca masakry zmarł nie odzyskawszy przytomności. Drugą ofiarą śmiertelną był Józio Kozłowski. Jego matka, siostra i młodszy braciśzek przeżyli i wracali do zdrowia. Po śmierci Zawady dochodzenie zostało umorzone.

Po tragedii pojawiły się dramatyczne pytania. Czy tak się musiało stać? Czy nie można było pomóc tej rodzinie? Gdzie były instytucje dobroczynne? **Zmieniono personalia.**

POWODEM STRASZLIWYCH CZYNÓW WACŁAWA ZAWADY BYŁA ROZPACZ PO UTRACIE PRACY I OBAWA NĘDZY. WOLAŁ OSZCZĘDZIĆ JEJ BLISKIM I SOBIE.

REKLAMA

0011535312

OBWIESZCZENIE

Zgodnie z art. 11f ust. 3 ustawy z dnia 10 kwietnia 2003 r. o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych (Dz.U. z 2024 r. poz. 311) oraz art. 49 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. Kodeks postępowania administracyjnego (Dz.U. z 2025 r. poz. 1691) Starosta Chełmski zawiadamia o wydaniu decyzji Nr 3/26 z dnia 27.05.2026 r. znak: AB.6740.4.15.2025 udzielającej zezwolenia na realizację inwestycji drogowej dla Wójta Gminy Kamień z siedzibą: ul. Diamentowa 15, 22-113 Kamień, polegającej na rozbudowie drogi gminnej nr 104958L od km 0+630,50 do km 1+571,50 w miejscowości Kamień i Rudolfin.

Inwestycja zlokalizowana zostanie na terenie Powiatu Chełmskiego w obrębie ewid. nr 0007 Kamień i obrębie 0015 Rudolfin, jednostka ewid. 060306_2 Kamień.

1. Działki wchodzące pod inwestycję (między liniami rozgraniczającymi teren budowanej drogi), położone w obrębie ewid. 0007 Kamień, jednostka ewid. 060306_2 Kamień*: 1224, 397/2 (397), 398/2 (398), 399/2 (399), 400/5 (400/1), 400/7 (400/2), 400/9 (400/3), 401/1 (401), 404/1 (404), 405/1 (405), 406/1 (406), 409/3 (409/1), 410/1 (410), 411/1 (411), 412/1 (412), 413/3 (413/1), 413/5 (413/2), 416/1 (416), 417/3 (417/1), 417/5, 417/6 (417/2), 419/3 (419), 420/1 (420), 421/1 (421).

położone w obrębie ewid. 0015 Rudolfin, jednostka ewid. 060306_2 Kamień*: 86/4, 86/5 (86/1), 86/7 (86/2), 87/2 (87), 88/2 (88), 89/2 (89), 90/2 (90), 91/6 (91/1), 91/8 (91/3), 91/10 (91/4), 92/11 (92/1), 92/13 (92/5), 92/15 (92/6), 92/17 (92/7), 93/2 (93), 94/2 (94).

*Pogrubioną czcionką oznaczono działki przeznaczone pod inwestycję według przedłożonych projektów podziału nieruchomości.

**W nawiasach wskazano działki podlegające podziałowi, według przedłożonych projektów podziału nieruchomości;

2. Działki dzielone pod inwestycję położone w obrębie ewid. 0007 Kamień, jednostka ewid. 060306_2 Kamień*: 397 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 397/2 i 397/1), 398 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 398/2 i 398/1), 399 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 399/2 i 399/1), 400/1 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 400/5 i 400/4), 400/2 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 400/7 i 400/6), 400/3 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 400/9 i 400/8), 401 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 401/1 i 401/2), 404 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 404/1 i 404/2), 405 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 405/1 i 405/2), 406 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 406/1 i 406/2), 409/1 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 409/3 i 409/4), 410 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 410/1 i 410/2), 411 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 411/1 i 411/2), 412 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 412/1 i 412/2), 413/1 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 413/3 i 413/4), 413/2 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 413/5 i 413/6), 416 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 416/1 i 416/2), 417/1 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 417/3 i 417/4), 417/2 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 417/5, 417/6 i 417/7), 419 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 419/3 i 419/4), 420 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 420/1 i 420/2), 421 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 421/1 i 421/2).

położone w obrębie ewid. 0015 Rudolfin, jednostka ewid. 060306_2 Kamień*: 86/1 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 86/4, 86/5 i 86/3), 86/2 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 86/7 i 86/6), 87 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 87/2 i 87/1), 88 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 88/2 i 88/1), 89 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 89/2 i 89/1), 90 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 90/2 i 90/1), 91/1 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 91/6 i 91/5), 91/3 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 91/8 i 91/7), 91/4 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 91/10 i 91/9), 92/1 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 92/11 i 92/10), 92/5 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 92/13 i 92/12), 92/6 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 92/15 i 92/14), 92/7 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 92/17 i 92/16), 93 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 93/2 i 93/1), 94 (wg projektu podziału dzielona na działki nr 94/2 i 94/1).

*Pogrubioną czcionką oznaczono działki przeznaczone pod inwestycję według przedłożonych projektów podziału nieruchomości.

Zakres inwestycji obejmuje rozbudowę drogi gminnej nr 104958L od km 0+630,50 do km 1+571,50 w miejscowości Kamień i Rudolfin, swym zakresem obejmować będzie rozbudowę istniejącej konstrukcji jezdni, przebudowę przepustu, budowę i przebudowę rowów i muld odwadniających, budowę zjazdów, usunięcie kolizji z istniejącą infrastrukturą techniczną (zabezpieczenia), wycinkę drzew i krzewów. Opracowanie projektowe ma na celu poprawę bezpieczeństwa ruchu drogowego i pieszych.

Jednocześnie zawiadamia się strony postępowania, że z treścią decyzji oraz aktami sprawy można zapoznać się w Wydziale Architektury i Budownictwa Starostwa Powiatowego w Chełmie, Pl. Niepodległości 1, 22-100 Chełm (pok. 94) w godz. 7.00-15.00. Od decyzji służy stronom odwołanie do Wojewody Lubelskiego za pośrednictwem Starosty Chełmskiego w terminie 14 dni od daty jej doręczenia. Zgodnie z art. 49 Kodeksu postępowania administracyjnego, doręczenie uważa się za dokonane po upływie czternastu dni od dnia podania do publicznego ogłoszenia. Ponadto informuję, że zgodnie z art. 18 ust. 1e ustawy z dnia 10 kwietnia 2003 r. o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych w przypadku, w którym dotychczasowy właściciel lub użytkownik wieczysty nieruchomości objętej decyzją o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej odpowiednio wyda tę nieruchomość lub wyda nieruchomość i opróżni lokal oraz inne pomieszczenia niezwłocznie, lecz nie później niż w terminie 30 dni od dnia:

- doręczenia zawiadomienia o wydaniu decyzji, o której mowa w art. 17,
 - doręczenia postanowienia o nadaniu decyzji o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej rygoru natychmiastowej wykonalności albo
 - w którym decyzja o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej stała się ostateczna
- wysokość odszkodowania powiększa się o kwotę równą 5% wartości nieruchomości lub wartości prawa użytkownika wieczystego. Dodatkowo, działając na podstawie art. 17 ust. 1 ustawy z dnia 10 kwietnia 2003 r. o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych, nadaję niniejszej decyzji rygor natychmiastowej wykonalności.

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne? Telefonicznie: 800 472 852
Przez internet: www.kurierlubelski.pl e-mail: reklama@kurierlubelski.pl
W Biurze Reklamy:

LUBLIN
Biuro Ogłoszeń
Krakowskie Przedmieście 10
tel. 503 138 578, 81 446 28 02, fax 81 446 28 14
e-mail: reklama@kurierlubelski.pl

LUBLIN
Biuro Reklamy
Krakowskie Przedmieście 10 lok. 3
tel. 81 446 28 49 do 858, fax 81 446 28 19
e-mail: reklama@kurierlubelski.pl

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

MALOWANIE i inne
prace/693-051-624

MONTAŻ karniszy, suszarek,
żyrandoli, szafek, mebli, zamków,
ścianki działowe, sufity podwieszane,
malowanie, hydraulika, elektryka,
nietypowe zlecenia, 601-351-338

MYCIE, malowanie dachów,
elewacji, szkła, kostki brukowej itp.,
514-299-106

OKNA, konserwacja, regulacja,
uszczelnianie. Balkony, tarasy -
sufity, ściany, balustrada, terakota,
601-351-338

Remonty, wykończenia mieszkań
i lokali - kompleksowo, naprawy
hydrauliczne, elektryczne
drobne naprawy 508-56-56-52,
81 740-03-99

ZŁOTA rączka - awarie, naprawy,
remonty A-Z, hydraulika, udrażnianie
kanalizacji, elektryka, nietypowe
zlecenia, 601-351-338

OGRODNICZE

WYCINKA drzew, podcinanie,
porządkowanie działek, koszenie,
usuwanie karp, wywóz gałęzi,
zakładanie trawników, ogrodzenia
z siatki, 514-299-106

PORZĄDKOWE

SPRZĄTANIE piwnic, strychów,
garaży, działek, domów po lokatorach
i zmarłych, wywóz rzeczy, ubrań,
gruzu, kucie, prace rozbiórkowe,,
887-069-855

WYWÓZ złomu, sprzętu agd, rtv,
gruzu, sprzętanie działek, piwnic,
inne, rozbiórki domów, szklarni itp.,
514-299-106

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy turnusy 7 dni od 1050
zł z 30% dofin. dla emerytów/
reńców, tel 501-642-492.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze
śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok.
z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

KRAJ - MORZE

DANA - USTRONIE MORSKIE. Tanie
wczasy z wyżywieniem dla Seniorów.
601-585-510 www.danaustronie.pl

KOŁOBRZEG blisko morza! 511337308

ŁEBA - tanie pokoje z łaz. 603-471-715.

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%,
K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/
tona, 500-669-621

Towarzyskie

SANDRA, 885-213-554

AUTOREKLAMA

Polecamy →



strona
KOBIECI



O kobietach i dla kobiet

stronakobiet.pl

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)
Działaj śmiało, lecz słuchaj intuicji. Horoskop dzienny zapowiada, że krótka rozmowa otworzy dziś drzwi do ciekawej współpracy.

Ryby (19.02 - 20.03)
Spokój będzie atutem. Horoskop na dziś wyraźnie zapowiada, że wieczór przyniesie bardzo miłą niespodziankę.

Baran (21.03 - 19.04)
Nowe informacje zmienią perspektywę. Horoskop dzienny na piątek mówi, że warto zadawać pytania i uważnie słuchać odpowiedzi...

Byk (20.04 - 20.05)
Potrzeba bliskości wzrośnie. Horoskop dzienny wróży, że czas dla rodziny pozwoli Ci odzyskać równowagę.

Bliznięta (21.05 - 21.06)
Twoja pewność siebie przyciągnie ludzi. Horoskop na dziś radzi pamiętać jednak, by zostawić również miejsce na dialog.

Rak (22.06 - 22.07)
Precyzja zapoczątkuje. Horoskop dzienny na piątek mówi, że detal okaże się kluczem do rozwiązania problemu.

Lew (23.07 - 22.08)
Szukaj harmonii zamiast pośpiechu. Horoskop dzienny wróży, że dobra organizacja pozwoli uniknąć zbędnego napięcia. Zachowaj rytm.

Panna (23.08 - 22.09)
Emocje będą intensywne, lecz konstruktywne. Skieruj je na ambitny i twórczy cel. Horoskop na dziś mówi, że efekt przyjdzie wkrótce.

Waga (23.09 - 22.10)
Ciekawość świata poprowadzi do inspiracji. Horoskop dzienny na piątek radzi nie odrzucać propozycji spontanicznego spotkania.

Skorpion (23.10 - 21.11)
Konsekwencja przyniesie efekty. Horoskop dzienny zapowiada, że ktoś ważny zauważy Twoje starania...

Strzelec (22.11 - 21.12)
Nietypowy pomysł zastępuje na uwagę. Horoskop na dziś radzi zaufać kreatywności i wykonać pierwszy krok. Rozwijaj śmiało wizję.

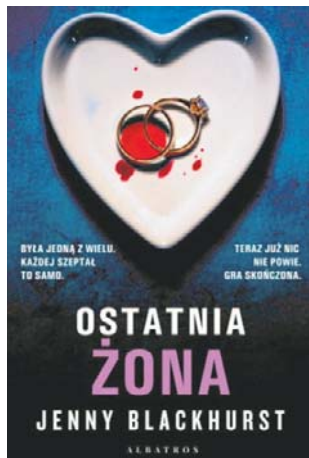
Koziorożec (22.12 - 19.01)
Wrażliwość pomoże zrozumieć innych. Horoskop dzienny na piątek zapowiada, że szczerza rozmowa poprawi relacje i nastrój.

CHCESZ OTRZYMAĆ KSIĄŻKĘ? WSKAŻ JĄ, WYCINAJĄC JEDNĄ Z ILUSTRACJI ZAMIESZCZONYCH PONIŻEJ, NAKLEJ NA KARTKĘ POCZTOWĄ I WYŚLIJ DO KURIERA. CZEKAMY TYDZIEŃ. LISTĘ SZCZĘŚLIWCÓW OPUBLIKUJEMY WKRÓTCE.



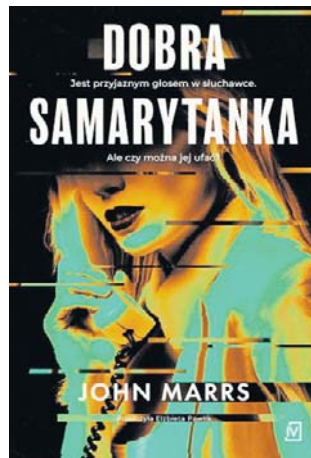
Jacek Dukaj „Oko potwora”

„Behemot V”, ciężki frachtowiec kosmiczny, w drodze z Marsa do Jowisza niespodziewanie schodzi z kursu i tak natrafia na ukrytego w pasie asteroidów Astromancera: latającego Holendra próżni, legendarne źródło niemożliwych wynalazków i obłędnej sztuki. Zejście z kursu nie było jednak przypadkowe: ktoś zsabotował kalkulator pokładowy. Zagłębiając się w szalone labirynty Astromancera, członkowie załogi „Behemota” pogrążają się w paranoi – każdy każdego podejrzewa. Umysły ludzi zaraza maszynowy chaos. Czy postępek na granicy? Chaos przeciwko rozumowi – po której stronie powinien stanąć człowiek? Retro SF jak z wczesnego Lema. Na podstawie „Oka potwora” w studiu Dukaj Games powstaje gra komputerowa. **Wydawnictwo Literackie**



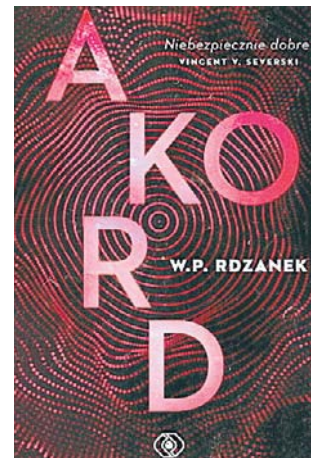
Jenny Blackhurst „Ostatnia żona”

Luke Whitney został zamordowany. Wielokrotnie dźgnięto go nożem. Do popełnienia zbrodni przyznała się jego żona Anna, znaleziona na miejscu zdarzenia. Ale skoro jest winna, dlaczego nie potrafi potwierdzić żadnych szczegółów? W miarę jak policja bada okoliczności zabójstwa, wychodzi na jaw, że ofiara była kłamcą i oszustem o osobowości narcystycznej i bogatym życiu uczuciowym. Z pewnością więcej niż jedna osoba miała powód, by chcieć jego śmierci: wzgardzona eks, zaniedbana kochanka i Anna – która dobrze wie, co działo się z kolejnymi paniami Whitney, gdy Luke się nimi nudził. Luke Whitney sam się o to prosił. Ale kto skutecznie zadbał o to, by dostał dokładnie to, na co zasłużył? **Albatros**



John Marrs „Dobra Samarytanka”

Ludzie dzwoniący pod numer Ostatniego Przystanku potrzebują nadziei. Potrzebują zapewnienia, że mają po co żyć. Ale niektórzy z nich trafiają do Laury. Laura nie chce, żeby mieli nadzieję. Chce, żeby umarli. Laura Morris nie miała łatwego życia. Teraz znajduje się u progu czterdziestki, niespokojna i rozgniewana, a ukojenie przynoszą jej jedynie rozmowy z ludźmi, którzy mają gorzej niż ona. I dobrze wie, jak utrzymać ten stan... Ale teraz ktoś ją przejrzał – Ryan, którego świat rozpadł się, gdy jego ciężarna żona odebrała sobie życie, trzymając się za ręce z nieznanym mężczyzną. Kim był ten człowiek i dlaczego zdecydowali się umrzeć razem? Ryan jest bliiski odkrycia mrocznej prawdy. **Czwarta Strona**



W.P. Rdzanek „Akord”

W świecie cyfrowych zagrożeń śmierć nadchodzi z najmniej oczekiwanej strony. Posłuchaj uważnie. Ten akord może być ostatnim, co usłyszysz. Niemiecki antykwariusz odnajduje w Żarach zaginiony utwór barokowego mistrza Georga Philippa Telemanna. Niedługo potem jego zwłoki zostają znalezione w warszawskim hotelu. Śledztwo podejmuje Ewa Dzik i Zygmunt Friszer. Wkrótce Europą wstrząsa przerażający zamach. Terrorysty dysponują czymś znacznie potężniejszym i bardziej wyrafinowanym niż bomby. Tymczasem Karol Koppel, genialny programista, uświadamia sobie straszną prawdę: źródłem siły terrorystów jest jego własny kod. Czy zdoła odkryć, w czyje ręce trafił, zanim sam stanie się celem? **Rebis**



John Varley „Milenium”

Nad Oakland dochodzi do zderzenia dwóch samolotów, a w odległej przyszłości speckomando podróżników w czasie przygotowuje się do przerażającej misji. Nie wszystko idzie jednak zgodnie z planem... Na miejscu największej katastrofy w dziejach amerykańskiego lotnictwa śledczy Bill Smith dochodzi do coraz bardziej zdumiewających wniosków, zwłaszcza gdy w szczytkach jednej z maszyn znajduje przedmiot, którego pochodzenia nikt nie potrafi wyjaśnić. Mimo wszystko nie spodziewa się, że seria niewytłumaczalnych incydentów wywróci jego życie do góry nogami i zakończy historię świata, jaką znamy. Powieść SF napisana z polotem. Lepsza niż większość wydawanych obecnie powieści. **Rebis**

NASZE SMAKI

Ciasto „maziak” z truskawkami, galaretką i budyniem

Składniki na blaszkę o wymiarach 35 x 22 cm
Ciasto ciemne:
6 żółtek
2 całe jajka
1/2 szklanki cukru
4 łyżki mąki pszennej
2 łyżki kakao
1 łyżeczka proszku do pieczenia
100 ml oleju

Ciasto jasne:
6 białek
1 kopsiasta szklanka cukru
1 szklanka mąki ziemniaczanej
1 łyżka octu 10%
100 ml oleju

Masa budyniowa:
500 ml mleka
2 opakowania budyniu waniliowego bez cukru
2 opakowania cukru waniliowego
2 łyżki cukru pudru
200 g masła

Dodatkowo:
500 g świeżych truskawek
3 opakowania galaretki truskawkowej

Ciasto ciemne. Żółtka, jajka oraz cukier razem utrzeć na puszystą masę. Nie przerywając ucierania, stopniowo dodawać do masy mąkę wymieszaną z kakao i proszkiem do pieczenia oraz olej. Ciasto jasne Białka ubić na sztywno, dodać cukier i razem zmiksować. Następ-



nie do piany dodać mąkę ziemniaczaną, ocet i olej. Na blaszkę wyłożoną papierem do pieczenia nakładać naprzemiennie porcję ciemnego i jasnego ciasta. Ciasto wymieszać widelcem. Piec około 35 minut w temperaturze 180 stopni. Po przestuz-

zeniu ciasto przekroić na dwa równe blaty. Masa z mleka odlać 150 ml. Pozostałe mleko zagotować razem z cukrem waniliowym. W odlanym mleku wymieszać proszki budyniowe. Masę wlać na gotujące się mleko. Cały czas mieszając, go-

tować 2 minuty. Ugotowany budyń odstawić do przestudzenia. Masło razem z cukrem pudrem utrzeć na puszystą masę. Do utartego masła stopniowo dodawać zimny budyń. Dokładnie utrzeć. Masą przełożyć upieczone ciasto. Truskawki obrać z szypulek i przekroić na pół. Owoce ułożyć na wierzchu ciasta. Galaretki rozpuścić w trzech szklankach wrzątku. Przystudzić. Tężejącą galaretką zalać truskawki na cieście. Ciasto wstawić na 2 godziny do lodówki. **Przepis Katarzyny Jaworek, autorki bloga „Tradycyjna kuchnia Kasi” (mad)**

Lubisz piec i gotować? Podziel się z nami przepisami: przepisy@gk.pl

Wiśniewski uratował nas przed porażką z Nigerią

Damian Świdorski
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Reprezentacji Polski ledwo udało się zremisować w meczu towarzyskim z Nigerią 2:2. Remis uratował strzałem życia Przemysław Wiśniewski w doliczonym czasie gry.

Postawa Biało-Czerwonych w spotkaniu z Afrykańczykami była bardzo słaba i gdyby nie bramka obrońcy Widzewa Łódź, atmosfera byłaby jeszcze gorsza.

Polacy kilka dni temu, w meczu z Ukraincami (0:2), zagrali, jakby już czekali na wakacje. W środowy wieczór rywalem w Warszawie były „Super Orły”, czyli trzecia drużyna ostatniego Pucharu Narodów Afryki.

W pierwszych dwudziestu minutach gra zespołu Jana Urbana była dość obiecująca. W 21. minucie meczu Robert Lewandowski zagrał piętą do Karola Świdorskiego, któremu odskoczyła piłka i gdy próbował do niej dopaść, został ewidentnie nadepnięty przez rywala. Rumuński sędzia Alexandru Barbu nie podyktował jednak rzutu karnego. Dwie minuty później Nigeria przeprowadziła atak i piłkę do bramki Kamila Grabary skierował Terem Moffi. Sędzia przez chwilę zastanawiał się, czy uznać gola, ze względu na potencjalnego spalonego, ale po analizie VAR zaliczył bramkę. Gdy wydawało się, że Biało-Czerwoni będą schodzić na przerwę, przegrywając, wyrównał młodzieńki obrońca FSV Mainz Kacper Potulski.

Kwadrans przed końcem meczu wydawało się, że Polacy są bliżsi zdobycia drugiej bramki. Ale jedna z nielicznych akcji rywali zakończyła się



FOT. PAP/LESZEK SZYMANSKI

Obrońca Widzewa Przemysław Wiśniewski strzałem rozpaczy z dystansu uratował Polskę przed porażką

przypadkowym kontaktem piłki z przedramieniem Kacpra Kozłowskiego i rzutem karnym, podyktowanym po analizie VAR. „Jedenastkę” wykorzystał w 77. minucie Paul Onuachu. Gdy zanosilo się na trzecią z rzędu porażkę Biało-Czerwonych, w doliczonym czasie gry Przemysław Wiśniewski zdecydował się na strzał rozpaczy z kilkudziesięciu metrów i piłka wpadła do siatki.

Gra reprezentacji z Nigerią przez większość kibiców i dziennikarzy została oceniona bardzo źle. Ale selekcjoner Urban miał inne zdanie. Wyznał po spotkaniu, że uważa ten mecz za całkiem dobry w wykonaniu jego kadry.

gnęli wnioski na mecz z Nigeryjczykami.

- W porównaniu do meczu z Ukrainą, to spotkanie było naprawdę dobre i na tym musimy bazować, musimy się rozwijać i ciągle uczyć. Jeśli krytyka jest konstruktywna, to trzeba z niej wyciągać wnioski, nie obrażać się i słuchać głosu innych ludzi. My mieliśmy taką szczerą analizę razem z trenerem i wydaje mi się, że wyciągnęliśmy te wnioski. Małe detale są bardzo ważne - oznajmił.

Zdanie Bednarka o nauce nie jest zbyt optymistyczne, biorąc pod uwagę, gdzie na co dzień grają liderzy polskiej kadry i jaki sezon rozegrali, w tym on sam w barwach Porto.

Reprezentacja Polski rozjeżdże się na wakacje, bo nie zagra na mundialu 2026. Kolejne mecze drużyny narodowej odbędą się jesienią. Rywalami w drugiej dywizji Ligi Narodów, będą: Szwecja, Rumunia oraz Bośnia i Hercegowina.

POLSKA-NIGERIA 2:2(1:1)

Bramki: dla Polski - Kacper Potulski (45+1), Przemysław Wiśniewski (90+5), dla Nigerii - Terem Moffi (23), Paul Onuachu (77-karny).

Żółte kartki: Polska - Bartosz Slisz, Robert Lewandowski; Nigeria - Abdullahi Bewene, Raphael Onyedika. **Sędzia:** Marian Barbu (Rumunia). **Widzów:** 54 408.

Polska: Kamil Grabara - Przemysław Wiśniewski, Jan Bednarek, Kacper Potulski (82. Jakub Kiwior) - Sebastian Szymarński (62. Kacper Kozłowski), Jakub Kamiński, Bartosz Slisz, Piotr Zieliński (90. Karol Czubak), Nicola Zalewski (90. Oskar Pietuszewski) - Robert Lewandowski, Karol Świdorski (62. Norbert Wojtuszek).

Nigeria: Maduka Okoye - Abdullahi Bewene, Igoh Ogbu (46. Calvin Bassej), Emmanuel Fernandez (46. Semi Ajayi), Bruno Onyemaechi (46. Zaidu Sanusi) - Wilfred Ndidi, Frank Onyeka (46. Raphael Onyedika), Tochukwu Nnadi (46. Rafiu Durosinmi), Moses Simon (63. Fisayo Dele-Bashiru) - Akor Adams (46. Philip Otele), Terem Moffi (46. Paul Onuachu). ©©

Polskie siatkarki z dwoma zwycięstwami na starcie Ligi Narodów w Nankin

Jacek Kmieciak
redakcja@polskapress.pl

SIATKÓWKA. Polskie siatkarki pokonały Czeszki 3:0 (25:22, 25:22, 25:20) w swoim drugim meczu turnieju Ligi Narodów w chińskim Nankin. Dzień wcześniej wygrały z Belgijkami 3:2.

Czeszki w środę niespodziewanie pokonały gospodynie turnieju bez straty seta, co z pewnością mocno je podbudowało przed spotkaniem z Polkami.

Początek jednak należał do Biało-Czerwonych, które rozpoczęły w identycznym składzie jak dzień wcześniej przeciwko Belgijkom.

Od pierwszych akcji skutecznością w ataku imponowała Martyna Łukasik, a po serii mocnych zagrywek Julii Szczurowskiej podopieczne Stefano Lavariniego prowadziły 8:4. Potem oba zespoły miały lepsze i gorsze momenty, Czeszki kilka razy pomyliły się w polu serwisowym, co nie pomagało im zniwelować strat.

W drugiej partii, po wyrównanym początku, Polki szybko przejęły inicjatywę. Odblokowała się Szczurowska, która dzień wcześniej poprowadziła reprezentację do zwycięstwa nad Belgijkami, punkty dokładały też środkowe.

Najbardziej wyrównany charakter miała trzecia partia. Coraz lepiej wyglądała współpraca Katarzyny Wenerskiej z Anną Obiałą, nadal skuteczną była Monika Lampkowska i Łukasik, ale rywalki też poprawiły swoją grę.

W ostatnich akcjach nie zawiodły Łukasik, najskuteczniejsza zawodniczka spotkania (15 punktów) oraz Lampkowska, która udaną kiwką zdobyła swój 13 punkt.

- Miłe, że z dnia na dzień gramy lepiej i poprawiamy różne elementy. Było lepiej niż dzień wcześniej - mówiła najlepsza na parkiecie Łukasik.

Kolejnymi rywalkami polskich siatkarek będą Serbki (dzisiaj o godzinie 13:30) i Chinki (w niedzielę, 7 czerwca o godzinie 13:00). ©©



FOT. FIVB

Atakująca Martyna Łukasik była najlepszą siatkarką na parkiecie w meczu Polska - Czechy w Nankin

Podwójne żużlowe Grand Prix w Manchesterze - powtórka z rozrywki?

Jacek Kmieciak
redakcja@polskapress.pl

ŻUŻEL. W piątek na torze w Manchesterze odbędzie się trzecia, a w sobotę już czwarta runda walki o indywidualne mistrzostwo świata na żużlu - Grand Prix Wielkiej Brytanii.

Po dwóch rundach żużlowego Grand Prix 2026 na czele klasyfikacji generalnej jest Bartosz Zmarzlik, który walczy o historyczny siódmy tytuł indywidualnego mistrza świata. W Lid-

shucie oraz Pradze sześciokrotny mistrz świata stawał na najniższym stopniu podium i z 32 punktami na koncie o jedno „oczko” wyprzedza rewalacyjnego debiutanta w cyklu Kacpra Worynę.

Za plecami Polaków jest Australijczyk Brady Kurtz, którego pasjonująca walka ze Zmarzlikiem była ozdobą ubiegłego sezonu.

W nadchodzący weekend najlepsi żużlowcy świata wystartują na torze, który umożliwił wiele mijanek, co jest gwarantem świetnej rywalizacji.

Jeszcze przed jej rozpoczęciem organizatorzy musieli ogłosić kolejne zmiany na liście startowej. Oficjalnie potwierdzono, że z podwójnej rundy SGP Wielkiej Brytanii wycofał się Fredrik Lindgren, który nabił się kontuzji w polskiej lidze, w meczu w Lesznie.

Miejsce szwedzkiego żużlowca zajmie Kai Huckenbeck. Niemiec był trzecim rezerwowym całego cyklu, ale wcześniej swoich szans doczekali się już Duńczyk Anders Thomsen oraz Czech Jan Kvech. Obaj zastępują kontuzjowanych Bry-

tyjczyka Dana Bewleya (złamał kość udową i doznał zgniecenia kręgu lędźwiowego w lidze duńskiej) i Dominika Kuberego (złamał obojczyk w lidze szwedzkiej i obecnie przechodzi rehabilitację po operacji).

Poprzednie Grand Prix Wielkiej Brytanii na torze Bellu Vue w Manchesterze były fenomenalnymi widowiskami, w których zwycięstwa odnieśli obecnie kontuzjowany reprezentant gospodarzy Dan Bewley, a dzień później Zmarzlik. Ubiegłoroczny podwójny weekend był uznawany za jeden z naj-

bardziej widowiskowych momentów sezonu.

Obie tegoroczne rundy w Manchesterze będzie można obejrzeć w Eurosporcie 3, Playerze oraz w HBO Max. Transmisje rozpoczną się o godzinie 19.30 (w piątek o 15.00 zostaną rozegrane też kwalifikacje).

Zmagania skomentuje niezawodny duet Michał Korościel - Marcin Kuźbicki. Reporterką będzie Marcelina Rutkowska-Konikiewicz, z kolei w studiu gośćmi Sebastiana Szczęsnego będą Piotr Protasiewicz oraz Rafał Lewicki.

KLASYFIKACJA PO DWÓCH SGP

1. Bartosz Zmarzlik - 32 pkt, 2. Kacper Woryna (obaj Polska) - 31, 3. Brady Kurtz (Australia) - 26, 4. Leon Madsen (Dania) - 21, 5. Jack Holder (Australia) - 21, 6. Robert Lambert (Wielka Brytania) - 20, 7. Jason Doyle (Australia) - 19, 8. Daniel Bewley (Wielka Brytania) - 18, 9. Dominik Kubera (Polska) - 17, 10. Michael Jepsen Jensen (Dania) - 16, 11. Patryk Dudek (Polska) - 15, 12. Andrzej Lebiediew (Łotwa) - 14, 13. Fredrik Lindgren (Szwecja) - 12, 14. Max Fricke (Australia) - 10, 15. Nazar Parnicki (Ukraina) - 8, 16. Anders Thomsen (Dania) - 4, 17. Norick Bloedorn (Niemcy) - 4, 18. Jan Kvech (Czechy) - 3, 19. Adam Bednar (Czechy) - 1, 20. Kevin Woelbert (Niemcy) - 0. ©©

SPORT

www.sportowy24.pl

PIŁKA NOŻNA

Karol Czubak z Motoru Lublin zadebiutował w reprezentacji Sparing Polski z Nigerią zakończył się remisem 2:2. Napastnik Motoru na murawie PGE Narodowego w Warszawie pojawił się w 89. minucie, przy wyniku 1:2 zmieniając Piotra Zielińskiego. – Nie jestem tak mądry, żeby oceniać zawodnika po kilku minutach gry, nie dostałem żadnej odpowiedzi – mówił podczas pomeczowej konferencji prasowej trener Jan Urban.



FOT. MOTOR LUBLIN/FACEBOOK

PIŁKA NOŻNA

Odejsia ze sztabu Motoru
Asystenci trenera Mateusza Stolarskiego: Gert Rimmel i Rasmus Jansson zdecydowali się opuścić Motor i przenieść do węgierskiego Debreczyna, gdzie Rimmel będzie pierwszym trenerem.

Kto zagra w Starcie? Trener: „Rozmawiamy”

Kamil Wojdat

k.wojdat@kurierlubelski.pl

KOSZYKÓWKA. Obowiązujące kontrakty z PGE Startem Lublin mają tylko Filip Put i Bartłomiej Pelczar. – Prowadzimy rozmowy, natomiast rozmowy lubią ciszę – mówi trener Wojciech Kamiński.

Za nim drugi sezon w PGE Starcie. Pierwszy zakończył wice mistrzostwem Polski, na początku kolejnego dołożył Superpuchar kraju. Finalnie jednak rozgrywki 25/26 zakończyły się niepowodzeniem: dopiero 13. w lidze, odpadnięcie z eliminacji Ligi Mistrzów i z FIBA EuroCup w fazie grupowej.

– Wiele rzeczy poszło nie tak – przyznaje szkoleniowiec. – Przede wszystkim granie w dwóch frontach jest sprawą ciężką. Wiele klubów, zwłaszcza piłkarskich, przekonuje się o tym. A my grając w Europie w pierwszej części sezonu, wpadliśmy w doły fizyczne i mentalne. I ta pierwsza część sezonu zaważyła na tym, że później cały czas musieliśmy gonić, cały czas musieliśmy robić zmiany – dodaje.

W trakcie rozgrywek z drużyną pożegnali się Amerykanie Elijah Hawkins, Trey Tennyson i Tevin Mack, dołączyli natomiast JP Tokoto, Conner Frankamp, Liam O'Reilly oraz Courtney Ramey.

– Zmiany czasami są wskazane, ale jestem zwolennikiem tego, żeby budować skład, dokładać do niego, a nie zmieniać. Każda zmiana powoduje to, że trzeba się cofać do miejsca wyjścia, żeby zawodników uczyć od początku całej filozofii. I w tym roku to wyszło jak też sport, że nie zawsze się wygrywa. Trzeba również z porażek, choć ja do końca nie nazywam tego sezonu porażką, wyciągnąć wnioski i w kolejnych sezonach starać się ich unikać – zwracał uwagę Wojciech Kamiński.

Doświadczony szkoleniowiec swoją przygodę w roli trenera zaczął w Polonii Warszawa w 2002 roku, mając zaledwie 28 lat. Z klubem ze stolicy wywalczył dwa brązowe medale mistrzostw Polski. Na swoim koncie ma też dwa srebrne krążki: z Legią Warszawa i Rosą Radom. Z klubem z Radomia zdobył też Pu-



Trener Wojciech Kamiński (z lewej) i jego asystent Michał Michał Sikora, zostają w klubie na kolejne trzy sezony. Start wznowi treningi 17 sierpnia

char Polski i Superpuchar Polski. Czego nauczyła go ostatnia kampania w Lublinie?

– Przede wszystkim, żeby ufać swoim oczom, swojej wiedzy. Wiara w siebie i swoje umiejętności to jest podstawa – mówi. – Chciałbym, żebym w każdym kolejnym sezonie tak dobierał zawodników, że-

bym ich w trakcie rozgrywek nie musiał wymieniać. Czyli wniosek jest z tego taki, że trzeba jeszcze więcej pracy poświęcić na to, aby dokładniej zbadać każdego zawodnika, zrobić taki raport, który robimy. Natomiast w zeszłym sezonie po finałach tego czasu było mało, żeby przygotowy-

wać się i podpisywać kontrakty. Nie każdy zawodnik był trafiony – zauważa.

Na początku maja klub poinformował o przedłużeniu umowy ze szkoleniowcem o kolejne trzy sezony.

– Zdecydowanie chciałbym podziękować prezesowi Arkadiuszowi Pelczarowi za zaufa-

nie – przyznaje trener. – Ojców sukcesu jest wielu, a po minionym sezonie, można byłoby się martwić o przyszłość. Natomiast prezes zadziałał w inny sposób. Postawił na kontynuację tego, co zaczęliśmy i na pewno wszyscy dołożymy wszelkich starań i dużo pracy, żeby w przyszłym sezonie lubelska koszykówka wyglądała dobrze – dodaje.

Trener doceniony

W minionym tygodniu Wojciech Kamiński odebrał nagrodę, przyznaną przez lubelski ratusz, za wyniki trenerskie osiągnięte w 2025 roku.

– Na pewno była to dla mnie wspaniała chwila. Bardzo się z niej cieszę. To docenienie nie tylko mojej pracy, ale i całego klubu, w którym funkcjonuje zespół ludzi. Tak jak powiedziałem na sesji rady miasta, dla mnie było to trochę niespodziewane, aczkolwiek myślę, że biorąc pod uwagę rok 2025, jak najbardziej zasłużone. To ogromne wyróżnienie, szczególnie że w Lublinie jest wiele dyscyplin sportowych, które świetnie promują miasto – mówił, cytowany przez stronę klubową. ©©

11 milionów złotych na nowe boiska piłkarskie z programu „Orły”

Adrianna Romanek

a.romanek@kurierlubelski.pl

PIŁKA NOŻNA. W Lublinie ogłoszono, że do sześciu miejscowości w województwie lubelskim trafi łącznie 11 milionów złotych na budowę i modernizację pełnowymiarowych boisk piłkarskich.

Lubelskie znalazło się w gronie beneficjentów rządowego programu budowy pełnowymiarowych boisk piłkarskich - Orłów. We wtorek (2 czerwca) podczas konferencji na boisku Szkoły Podstawowej nr 16 im. Fryderyka Chopina w Lublinie ogłoszono wyniki naboru. Do sześciu samorządów w regionie trafi łącznie 11 milionów złotych wsparcia na budowę lub modernizację nowoczesnej infrastruktury piłkarskiej.

Jak podkreślał podczas konferencji minister sportu i turystyki Jakub Rutnicki, program



Minister zapowiedział, że po zakończeniu modernizacji boiska wróci do Lublina na wspólny trening

„Orły” ma wypełnić lukę pomiędzy lokalnymi boiskami typu Orlik a profesjonalnym szkoleniem piłkarskim.

– Sześć Orłów ląduje w województwie lubelskim. Kwota wsparcia to 11 milionów złotych. Bardzo się cieszę, że ten

wielki program budowy pełnowymiarowych boisk ze sztuczną nawierzchnią staje się faktem. Rusza wielka budowa w całej Polsce – mówił minister.

Jak zaznaczył, inwestycje są odpowiedzią na wieloletnie postulaty środowiska piłkarskiego.

– Program budowy pełnowymiarowych boisk ze sztuczną nawierzchnią to tak zwane brakujące ogniwo. To jest to, o co apelowało całe środowisko piłkarskie. Rewitalizujemy Orliki, budujemy nowe Orliki, ale teraz przyszedł czas na Orły – podkreślał.

Minister zwracał uwagę, że nowoczesna infrastruktura ma umożliwić dzieciom i młodzieży trening przez cały rok, niezależnie od warunków atmosferycznych.

– To przede wszystkim robimy dla tych fantastycznych dzieciaków. Musimy stworzyć im warunki do trenowania przez 365 dni w roku. To jest absolutnie kluczowe – mówił.

Nie tylko dla dużych miast
Jakub Rutnicki podkreślał również, że program nie jest adresowany wyłącznie do największych ośrodków miejskich. Jego zdaniem to właśnie w mniej-

szych miejscowościach rodzą się przyszłe sportowe talenty.

– Sport zaczyna się w tych mniejszych miejscowościach i mniejszych klubach. Często bez wsparcia Ministerstwa Sportu i Turystyki nie byłoby szans na realizację takich inwestycji. Dlatego bardzo się cieszę, że decyzje trafiają właśnie do tych samorządów – zaznaczył.

W skali kraju w ramach programu powstanie lub zostanie zmodernizowanych blisko 120 pełnowymiarowych boisk piłkarskich. Łączna wartość wsparcia z Ministerstwa Sportu i Turystyki wynosi 300 milionów złotych. Maksymalna wysokość dofinansowania dla jednej inwestycji może sięgnąć 4,5 mln zł i pokryć do 50 proc. kosztów kwalifikowanych, obejmujących m.in. budowę nawierzchni, oświetlenia czy zaplecza szatniowego.

– Jeżeli chcemy mieć w przyszłości kolejnych Robertów Le-

wandowskich czy kolejne Ewy Pajor, potrzebujemy nowoczesnej infrastruktury. Ta nowoczesna infrastruktura staje się faktem – podkreślał minister. ©©

Dla województwa lubelskiego dofinansowanie w ramach programu budowy pełnowymiarowych boisk piłkarskich otrzymały:

powiat biłgorajski, gmina miasto Biłgoraj, budowa pełnowymiarowego boiska nawierzchni z trawy syntetycznej w Biłgoraju - 4 137 000 zł, powiat biłgorajski, gmina Księżpól, modernizacja pełnowymiarowego boiska piłkarskiego przy ul. Biłgorajskiej w Księżpolu - 392 800 zł, powiat hrubieszowski, budowa pełnowymiarowego boiska przy ul. Ciesielczuka w Hrubieszowie - 1 488 700 zł, powiat lubelski, gmina Jabłonna, modernizacja pełnowymiarowego boiska piłkarskiego w Jabłonie - 744 700 zł, Lublin, modernizacja pełnowymiarowego boiska piłkarskiego przy SP nr 16 w Lublinie - 1 534 100 zł, powiat radzyński, budowa pełnowymiarowego boiska przy ul. Generała Sikorskiego w Radzyńcu Podlaskim - 2 404 900 zł.